

Die  
Krosumian

...ZUMIANY

A W

NIEZROZUMIANY

llk

llll

FLORENCE MONTGOMERY

NIEZROZUMIANY

PRZETŁUMACZYŁA Z ANGIELSKIEGO  
W. L. MUKUŁOWSKA.

Z RYĆCINAMI



POZNAŃ 1916. NAKŁADEM I CZCIONKAMI  
DRUKARNI I KSIĘGARNI ŚW. WOJCIECHA.



61453

## Przedmowa tłumacza.

Niniejsza książka nie jest w ścisłym znaczeniu powiastką dla dzieci. Autorka ofiarowuje ją więc rodzicom i wychowawcom i wszystkim, którzy chcą na życie popatrzeć z punktu widzenia dziecka, chcą wejść w jego położenie, dzielić nadzieje, radości i smutki, słowem to, co jest sumą istnienia małych naszych współbliźnich.

Niejedni nie umieją i nie chcą pojąć ich duszy — zniżyć się do ich pojęć. Z góry przekonani, że znają usposobienie i charakter powierzonych sobie dzieci, nie potrafią uwzględnić ich indywidualności. A przecież jest to już człowiek, świat odrębny — i liczyć się trzeba z właściwościami jego natury — jeżeli się nie chce spaczyć, wykrzywić, w fałszywym kierunku popchnąć danych mu od Boga talentów. —

K-84/76/63784

Niezrozumianych i zapoznanych jest w światku dziecięcym bardzo dużo, — chciałabym serdecznie, aby historia Henia zachęciła do wnikania w duszyczki braciszków jego i siostrzyczek, i ochroniła ich od tragicznych przejsć małego bohatera.

W. L. Mukułowska.

## Część I.

### Rozdział I.

Od chwili, gdy dzieci wstały od obiadu deszcz lał jak z cebra na pola i łąki, trawniki i klomby, dachy i wieżyczki starego pałacu Wareham Abbey w hrabstwie Sussex.

Gdy tylko zdjęto obrus, dwie główki przyciskały się do okna pokoju dzieciennego, i dwie pary żywych oczu śledziły pilnie niebo i chmury.

Co za wstrętny, wilgotny dzień! Dziś ojciec ma wrócić do domu i obiecał dwóm braciszkom, że pojedą po niego na stację. Dla panny Wirginii nie byłoby miejsca w powozie — miłano ich powierzyć staremu Piotrowi, stangretowi; to dopiero zabawa! Przedtem musieliby uroczyście przyrzec, że przy wsiadaniu nie staną na kole, ani nie wyskoczą, zanim się powozik zatrzyma, ani nie popełnią nic również nadzwyczajnego.

Ulec na tak długo od Wirginii, było szczytem marzeń dwóch chłopczyków. Zdało się, że ją stworzono jedynie w celu pokrzyżowania każdego planu zabawy i przewidywania niebezpieczeństw, gdzie inni widzieli przyjemność. Jej wieczne: »Nie róbcie tego; nie ruszajcie tego«, rzuciło cień na słoneczną ścieżkę chłopięcych rozrywek i zabaw.

Biedna Wirginia!

Stawiona przed dziecinny sąd byłaby napewno skazaną bez przyznania jakichkolwiek łagodzących okoliczności. A jednak była dobrą dziewczyną, pełną najlepszych chęci — niestety wyposażona w »nerwy«. Żyła we wiecznej obawie, gdyż spadała na nią odpowiedzialność za dzieci wdowca — którego nigdy prawie nie było w domu. Chłopcy nie bali się żadnego niebezpieczeństwa — nigdy nie myśleli o skutkach swych dzikich nieraz pomysłów — głusi na prośby i perswazyje, żywi jak skry, wszędzie ich było pełno. Francuzka twierdziła, że na całym świecie nie urodziły się dotychczas równie lekkomyślne stworzenia. Miluś, młodszy, był dość grzeczny, gdy był sam; mogła z nim dojść do ładu, bo czteroletni obywatel poddawał się jej władzy, ale starszy Henio!

Gdy o nim mówiła, stale »brakło jej

słów«. Zmalała ręce i podnosiła oczy do sufitu, tłumiąc okrzyk grozy.

Sir<sup>1)</sup> Edward Duncombe, ojciec chłopczyków, był członkiem parlamentu i podczas sesyj, to jest od marca do końca lipca mieszkał stale w Londynie. Do Abbey przyjeżdżał na niedziele i pozatem dzieci prawie go nie widywały. Resztę roku spędzał na wsi.

Ciemnym punktem owych krótkich odwiedzin były skargi Wirginii i przegląd wszystkiego, co Henio popełnił w ciągu tygodnia. — Wdrapywał się na drzewa, zeskakiwał z zatrważających wysokości; chodził do stajni, prosto pod kopyta ogiera, wysiadywał z molosem w psiej budzie — o mało nie spadł z wału — o włos nie utonął w stawie — słowem, przestępstwom nie było końca.

Ale najgorszą zmorą Wirginii było to, że co zrobił Henio, to Miluś chciał naśladować; dokąd poszedł Henio, tam towarzyszył mu chętnie Miluś.

A, jak Wirginia zaznaczyła z naciskiem, »Miluś, to całkiem co innego«.

Heniovi nie groziły zaziębienie ni kaszel, — mały Miluś był słabowity,

1) Sir przed imieniem i nazwiskiem oznacza tytuł, przysługujący angielskiej szlachcie.

miał skłonność do choroby piersiowej, trzeba go było pilnie strzedz od zimnego wiatru, przemoczenia nóg i zmęczenia. Z natury nieśmiały i słodki, o bardzo kochającym serduszku był ulubieńcem ojca. Sir Edward świata nie widział poza najmłodszym synkiem. — Lady Duncombe widziała stronniczość męża i nieraz robiła mu wymówki.

— Miluś jest rozpieszczonem kociątkiem, — mówił, biorąc za rękę dziecko, i gładząc kędzierzawą główkę, tuląc się serdecznie do jego ramienia. — Gdybym tak podniósł Henia, wydzierałby się na ziemię, i wolałby skakać po stołach i krzesłach.

— Henio jest o trzy lata starszy, — dowodziła Lady Duncombe, — nie możesz żądać aby siedział spokojnie, jak półtoraroczne maleństwo, ale ma równie czułe serduszko, jak Miluś, choć objawia to inaczej.

— Może być, — odparł Sir Edward, — ale lubię, kiedy takie słodkie stworzonko tuli się do mnie, i siedzi mi godzinami na kolanach.

Lady Duncombe nic nie odpowiedziała, lecz oczy jej przeszły od jasnowłosego maleństwa do starszego chłopczyka, który przez trzy lata był jej jedynem

1) Tytuł Lady (wymawia się: ledi) przysługuje żonom i córkom szlachty.

dziecięciem. Patrzyła nań z miłością i szczęściem. Dumną była z jego zachowatości — interesowania się wszystkim otaczającym, niezmordowanej ruchliwości; lubiła jego pieszczoty zupełnie jak przytulne pocałunki młodszego.



Jakżeż się cieszyła, gdy wpadał raptem do pokoju — wskakiwał jej na kolana — chociaż po drodze przewrócił

kilka krzesełek, potracił szkatułkę do roboty lub pobrudził fotel zabłoconymi bucikami. Cóż to szkodziło!

Czyż nie okrywał jej policzków serdecznymi pocałunkami? Nie zarzucał na szyję kochanych, opalonych ramionek? Czy nie wiedziała, że pod pozornem nieposłuszeństwem i brakiem uwagi bije kochające serduszko? Chociaż zapominał o każdym poleceniu i każdej obietnicy, to jednak o matce nie zapominał! Nie troszczył się o nic i nikogo, ale znowu myślał o jej pieszczotach i pragnął jej spojżenia i uśmiechu.

4

O, straszny to był dzień dla małego Henia, kiedy mu Bóg zabrał matkę. Kiedy długa, niszcząca choroba zakończyła się śmiercią, — kiedy kochane oczy, które go do końca szukały, zamknęły się na wieki — i szczupłe przezroczyście ręce poraz ostatni skrzyżowano na piersi, gdzie nigdy nie będzie już mógł przytulić kędzierzawej główki i wyplakać dziecinnych przyrzeczeń i żali.

Sir Edward przygnieciony okrutnym ciosem ledwo widywał synów w pierwszych czasach osierocenia.

Gdy nieco przyszedł do siebie zdumiał się, że Henio był wesołym jak zawsze. Ruchliwy, myślący o psotach, zdawał się zapomnieć o bolesnej stracie.

— Nie ma serca, myślał, patrząc na czarno ubraną postać, goniącą jagnięta na łące.

Sir Edward nie widział zmiany w chłopcu, — bo widywał go jedynie w chwilach, kiedy natura i wiek żądały swych praw a wrodzona żywość pozwalała mu odnuć wspomnienie bólu, ale nie widywał go nigdy, kiedy poczucie straty przytłaczało dziecinną duszę, — wtedy zmieniała mu się twarzyczka — ukochane wezwanie »mamo« nawpół wybiegało na usta i zamierało w łkaniu. Ojciec nie widział, jak

Henio biegł do buduaru z nowym skarbem w rączkach, nowym pomysłem w główce, a potem stawał przed drzwiami, przerażony

myślą, że na otomance już nie siedzi matka, że go nie czeka jej uśmiech, ani ucho, zawsze chętne do wysłuchiwania wszelkich spostrzeżeń, ani kochająca pieśczętą, ani zachęta. Nie widział, jak łyzy palliły w dziecięcych oczach,

ramiona opadały bezsilnie, i biegł — uciekał poprostu, dalej i dalej, by ująć przed bólem i tęsknotą i straszem uczuciem samotności.

A tylko On, co mieszka na wysokościach, a jednak wie o najmniejszym robaczku ziemskim, On jeden wiedział, co się dzieje w sercu chłopczyny, On jeden





liczył gorące łezki, i słyszał krzyk bólu, wrywający się z osieroconego serduszka.

— Mamo, mamuniu, co ja bez ciebie pocznę!

Dwa lata upłynęły od śmierci Lady Duncombe.

Milusiś zapomniiał matki, ale w umyśle starszego dziecka obraz ukochanej zmarłej jaśniał w żywych barwach.



Tygodniami i miesiącami nie myślał o niej, aż nagle kwiatek, lub książka, lub jaka drobnostka, która kiedyś do niej należała, wywoływały przeszłość i budziły całą głębię żalu.

Wtedy kędzierzawa główka spadała na piersi, a z wesołych zwykle ciemnych ocząt płynęły rzęsiste łzy.

W takich chwilach Henio wykradał się do dawnego salonu matki. Wisiał tam jej portret, przedstawiający młodą kobietę w pełnym rozkwicie urody; w ramionach tuliła najstarszego syna.

Dziecko rzucało się na ziemię przed obrazem, usiłowało przybrać pozę, w której go uwiecznił artysta i wmawiało w siebie, że tuli się do piersi matczynej.

Bywały dnie, w których wynoszono meble ze salonu, froterowano posadzkę i trzepano dywany — wtedy podnoszono ciężkie żaluzye i jasne światło padało na portret. Henio brał za rękę braciszka i prowadził przed obraz, poczem opowiadał malcowi o matce.



Milusiś miał wiele szacunku i podziwu dla Henia.

Siedmioletni chłopczyk chodzący w spodziankach, zawsze imponuje czterolatкови, którego jeszcze ubierają w sukienki. Milusiś oczywiście zawsze widział salon jako ciemny, zamknięty pokój więc z nabożeństwem i uwagą słuchał opisów braciszka, jak tu niegdyś było pełno kwiatów i różnych ślicznych drobiazgów, jak w świecznikach paliło się mnóstwo świec, a na kominku trzeszczał ogień, jak u okien wisiały koronkowe story, a na otomanie leżała mamusia w ślicznej sukni.

Pojęcie »matki«, o której Henio mówił zawsze z podziwem w głosie i błyszczącemi ożywieniem oczyma bardzo niejasno rysowało się w umyśle Milusia, ale czuł, że to jest coś bardzo pięknego i świętego.

To też odczuwał swą niższość względem Henia: on nie znał tej ślicznej, dobrej

mamy i żal mu nieraz było, gdy braciszek nagle przerywał długie opowiadanie:

— Niema celu męczyć się tłumaczeniem ci jaką była mamusia — i tak jej nie pamiętasz!

Wtedy smutniała ładna twarzyczka malca — i pokornie protestował.

I tak jej nie pamiętasz!

Zmorą Wirginii była bezwzględna adoracya Milusia dla brata. Nieśmiały z natury stawał się odważnym, gdy Henio wskazywał drogę, posłuszny, gdy był sam, na życzenie Henia otwarcie sprzeciwiał się rozkazom bony. Biedaczka poznała z własnego doświadczenia, że zasada »łączność tworzy siłę« nie jest czczym frazesem. Jednomysłność malców psuła jej humor i nerwy.

Dziś powiedziała Heniowi, że mu wolno jechać po ojca na stacyę, pod warunkiem, że włoży ciepły paltocik i kalosze. Chłopczyk przystał, ale żądał kategorycznie, by i Miluś z nim jechał. Tu jednak natknął na opór Wirginii. Wiedziała dobrze, że zimno i wilgoć szkodzą Milusiowi, i żadne ciepłe okrycie nie uchroniłoby go od kataru. Oświadczyła stanowczo, że Henio może jechać sam, albo obadwaj zostaną w domu.

— Nie jedź! — prosił Miluś, tuląc się do brata, — tak mi bardzo smutno samemu z panną Wirginią.

— Wirginia jest kwaśna stara pannica, zadecydował Henio. — Nie bój się, Miluś, nie pojedę bez ciebie. Wiesz co, żeby nam nie było nudno czekać, porachujmy, ile kropli spada po szybie.

Następne półgodziny zeszło szybko na owym interesującym zajęciu. Powóz był nieomal przed gankiem, gdy go dzieci dostrzegły.

— Cóż tam jest, nowego? — krzyknęła Wirginia, przestraszona hałasem, gdy Henio zeskoczył z krzeselka na ziemię.

— Ojciec przyjechał! — raczył odpowiedzieć, wybiegając z pokoju.

— A! ojciec, ależ czekajcie trochę, czekajcie, abym was mogła choć trochę pocesać!

Ale chłopczyk zniknął — tylko schody dudniły pod szybkimi krokami.

Miluś pobiegł za braciszkiem, lecz bona pochwyliła go na progu, — pomimo oporu przyglądziła mu włosy i obejrzała czy ma czyste ręce.

Stanął w sieni w chwili, gdy powóz zatrzymał się przed gankiem, i wysoki ciemnowłosy mężczyzna wchodził w drzwi.

— Jak się macie, drogie dzieci? — zapytał całując śliczne twarzyczki? — Nie połamaliście sobie kości? Co? Nie zdobyliście sobie nowych guzów i okaleczeń?

W radości nad przybyciem ojca nie zauważyli, że z powozu wysiadł drugi jeszcze pan. — Idźcie się przywitać z naszym gościem. Ciekawym, czy poznacie, kto to jest?

Henio spojrzał na młodego człowieka i rzekł zarumieniony:

— To wuj Karol, co był u nas dawno temu, zanim ojciec wyjechał na morze i zanim —

— Tak, — przerwał Sir Edward. Przypomniał sobie, że ostatnia wizyta szwagra była krótko przed śmiercią żony. — Nie przypuszczałem, że pamiętasz. — Wiesz, Karolu, Henio mało się zmienił, ale ten oto obywatel nie umiał chodzić, gdyś tu był ostatnim razem, dodał, biorąc na ręce Milusia.

— Co za podobieństwo do Adeli! — zawołał wuj Karol!

Sir Edward postawił dziecko na ziemi.

— Niestety, nietylko z rysów. Patrząc! I wskazał delikatny rysunek błękitnych żył na czole, i wypieki na policzkach.

Henio uważnie przysłuchiwał się rozmowie. Gdy ojciec całował Milusia, chłopczyk

podszedł do wuja i z zaufaniem pochwycił go za rękę.

— Kochany chłopcze, — rzekł tamten, głaszcząc kędzierzawą główkę. — Byliśmy zawsze dobrymi przyjaciółmi! Myślę, że i teraz będzie nam wesoło!

Poczem rzekł, nawpół do siebie, patrząc na uszczęśliwioną buzię:

— Ale niema cienia podobieństwa do matki!

W tej chwili odezwał się dzwonek, — chłopaczki pobiegli do pokoju ojca, by mu pomagać, a raczej przeszkadzać w ubieraniu. Miluś przeglądał uważnie ręczną torbę, w nadziei, że znajdzie kolorową bibułę, lub kawałek sznurka. — Henio przetrząsał kieszenie surduta, który właśnie zdjął Sir Edward.

Podjeźdźny szmer doleciał baroneta. Co tam masz Henio?

Henio wy dostał wielki scyzoryk o kilku klingach — z trudem otworzył go i próbował ostrza na paznociu. Na głos ojca upuścił niebezpieczne narzędzie. —

Ale niespokojne palce niedługo próżnowały. Chwilę było cicho — i właśnie ta niezwykła cisza zaniepokoiła Sir Edwarda.

— Ależ Henio, zawołał przerażony, odłóż brzytwę.

W lustrze zobaczył odbicie namydlonej twarzyczki synka, który właśnie miał zamiar rozpocząć golenie.



Kara zawsze następuje po winie, więc chłopiec musiał iść do dzieciennego pokoju, by mu Joasia otarła buzię. Pobiegł jak strzała, i, by odzyskać stracony czas zsunął się po poręczy schodów, tak, że dogonił Ojca i Milusia na progu biblioteki, gdzie wuj Karol czekał już na nich.

W tej chwili znowu zabrzmiał dzwonek i wszyscy poszli do pokoju jadalnego. Braciszkom ustawiono krzeselka po obu stronach ojca.

Obiad był wyjątkowo spokojny. Karol jadł w milczeniu zupę, Sir Edward rozmawiał z synami.

Ni stąd ni zowąd odezwał się Henio:

— Dziś są urodziny Wilhelma.

Młody służący, ujrzał się niespodzianie przedmiotem ogólnej uwagi — co go tak zmieszało, że zaczerwienił się po uszy, i o mało nie upuścił podawanego półmiska.

— Skończył dziś dwadzieścia dwa lata, — powiedział Henio, — sam mi opowiadał.

Baronet zrobił minę, jakby go ta ważna wiadomość bardzo obeszła.

— O której godzinie urodziłeś się, Wilhelmie? — pytał chłopczyk nieśmiałego służącego, który tymczasem stanął przy bufecie, i robił rozpaczliwe ruchy — w nadziei, że mały dręczyciel zmieni temat.

Sir Edward zamknął gadatliwą buzię, podając dziecku końcem widelca kawałek łososia. Kilka minut trwało milczenie, ale ledwo Henio przełknął rybę, już ciągnął dalej:

— Papo! co papa daruje Wilhelmowi na pamiątkę?

Oparł łokcie na stole — twarz na rękach, i tak patrzył pilnie ojcu w oczy, czekał na odpowiedź.

Wuj Karol pochylił się nad talerzem, przygryzając usta i czerwieniąc się od gwałtem wstrzymywanego śmiechu.

— Wiem, coby mu zrobiło przyjemność, zakończył Henio, — bo mi powiedział!

Nieszczęsny Wilhelm pochwylił półmisek i dażył ku drzwiom, ale nieubłagany starszy sługa, podał mu sos homarowy — musiał więc znowu podejść do pana.

— Zapytałem go dzisiaj, — ciągnął dalej Henio, dumny ze zaufania Wilhelma, — czygobyś sobie życzył, gdyby ci papa chciał dać podarunek? Pamiętasz, nieprawda,

Wilhelmie? a potem mi powiedziałaś, nieprawda, Wilhelmie?

Pytanie było już wręcz zwrócone do chłopaka, który nie wiedział co począć, — niezważając na znaki swego przełożonego, zniknął z nawpół próżną tacą za drzwiami, w chwili, kiedy Karol wybuchnął wesołym śmiechem.

— Nie trzeba tyle mówić przy stole, mój drogi, — rzekł Sir Edward, gdy drzwi cicho zamknęły się za Wilhelmem; — wujek i ja nie mieliśmy czasu na jedno słowo. Doprawdy, dodał ciszej do szwagra, w obecności dzieci siedzę zawsze na rozżarzonych węglach, nigdy nie wiem, z czem wystrzelą.

Gdy służba wróciła, obaj panowie rozmawiali o polityce, ku wielkiej uldze Wilhelma. — Henio zaś zagłębił się w niesłychanie ciekawej pracy: z chleba papy gniótl gałki, potem kopał groby w soli i chował w niej mniemanych nieboszczyków.

— Przyjedź na przyszły tydzień, i pomóż mi w przyjmowaniu gości, — mówił Sir Edward. — Zaprosiłem na obiad znajomych chciałbym żebyś był zemną. Od dwóch lat nie urządziłem przyjęć dla mych wyborców, myślę, że trzeba ich zaprosić.

Henio, na pozór zatopiony w swych improwizowanych pogrzebach, przycisnął mocno wspólną nogę, posadził na wierzchu listek pietruszki i powtórzył półszepem:

— Wyborcy? Co za zabawne słowo! Niespodzianie zapytał ojca:

— Co to znaczy? Wy... Wy... Wybor...

— Wyborcy? — poddał wuj. — To są mieszkańcy puszczy, dzicy, pół ludzie a pół zwierzęta!

— I papa zaprosi ich na obiad? — zawołał Henio ze zdumieniem!

— Tak, — odparł Karol, ciesząc się z dowcipu, — będzie to wielka zabawa dla was obydwóch!

Chłopczyk zeskoczył z krzesła i wykonywał dokoła stołu rodzaj indyjskiego tańca.

— O Papo, Papo! Mogę ich zobaczyć! Nieprawda? Niech papa obieca! Niech papa powie »tak«, nie pytając Wirginii o radę.

— Zobaczmy, — rzekł baronet, — do obiadu nie przyjdiesz, bo dzieci starszym przeszkadzają, zwłaszcza, jeżeli nie umieją milczeć; ale wolno wam zejść do biblioteki i przywitać się.

W tej chwili weszła Wirginia i wezwała maćków: »Heniu, Milusiu, już czas do łóżka.«

Posłuchali z żalem.

Rozmowa stawała się interesującą, a Henio tak chętnie dowiedziałby się czegoś nowego o wyborcach.

Powoli szli na górę, za nimi postępowała bona. Francuzka zawsze chciała ich mieć na oczach, była w wiecznej obawie, że za jej plecami nowe popełnią głupstwo. Dziś jednak braciszczkowie nie umieli myśleć o niczem innym jak o dzikich, którzy mają na przyszły piątek zawitać do Wareham Abbey. Spokojnie weszli do sypialni, spokojnie dali się rozebrać i ułożyć w łóżeczka. Wirginia zapuściła story, i poszła na kolację.

— Co za szczęście, że się wyniosła, — zawołał Henio, — teraz możemy porozmawiać o dzikich.

Ale Miluś poprosił serdecznie:

— Mój drogi! lepiej nie mówmy o tak strasznych rzeczach pociemku. Jeżeli już koniecznie chcesz, to daj mi rękę, bo się bardzo boję.

— Nie mówmy, kiedy się boisz, — rzekł protekcyjonalnie starszy. — Posunął się na sam brzeg łóżeczka i podał braciszczkowi rękę, — chwilę potem obaj spali.

Biedne, kędzierzawe główki! Nie pochyli się nad wami matka ze słodką pieszczotą i słowami modlitwy o szczęście. —

Biedne, rumiane twarzyczki, nie dotkną was kochające usta rodzicielki.

Na łące jagnię tuli się do owcy, ptaszyna usypia pod ciepłym skrzydłem!

Ani ostrożne stąpanie, ani lekki szelest sukien nie przerwie ciszy sypialnego pokoju, żadna troskliwa ręka nie osłoni nocnej lampki.

Biedne dzieci!



*M*

## Rozdział II.

Sir Edward Duncombe nigdy przed dziewiątą nie wchodził do jadalnego pokoju, lecz cały dom był powiadomiony o każdym jego ruchu, bo obaj malcy stali u drzwi sypialni, do której ich nie wpuszczano, i głośno obwieszczali, co robi ojciec.

- Czy papa prędko wyjdzie z kąpeli?
- Papa się jeszcze myje?
- Co papa teraz robi?
- Czy papa mydli ręce?
- Jak papa pluska się we wodzie!
- Teraz tak cicho, pewnie papa ociera twarz ręcznikiem?

Właśnie otworzyły się drzwi i niebawem Sir Edward wszedł do jadalni, mając z każdej strony maleńkiego adjutanta.

— Bardzo starannie odbywałeś dzisiaj mycie, — zauważył Karol, podając szwagrowi rękę.

Baronet śmiał się wesoło.

— Jak widzisz, w tym domu nie po-

tajemnie odbyć się nie może. Co za cudny dzień!

— Wspaniały! Ale będzie strasznie gorąco; jeżeli się nie mylę, droga do kościoła jest cienista. Czy dzieci też chodzą na nabożeństwo?

— Miluś nie, ale zwykle zabieram Henia. Zdziwisz się, jak spokojnie siedzi. Myślę, że kościół jest jedynym miejscem, w którym nie robi głupstw.

Podczas śniadania Henio wyszukiwał w książeczce modlitwy, ewangelie i pieśni, i starannie oznaczał miejsce wstążeczkami. Był tak zajęty, że zapomniał rozmawiać.

— Ot! — zawołał radośnie, umieszczając ostatnią zakładkę, — ot i znalazłem wszystko.

Z wysiłkiem powstrzymał się od rzućcia książki w powietrze.

— Idź się ubierać, — rzekł baronet, — abyśmy na ciebie nie czekali.

Dziecko poskoczyło do siebie, ale posiedzenie z Wirginią było burzliwe i trwało dość długo, tak że dopiero w ostatniej chwili przyłączył się do starszych.

Droga do kościoła wiodła przez ogród kwiatowy, a następnie przez cienistą aleję. Z okna patrzyła za nimi zmartwiona twarzyczka Milusia, który bardzo się smucił

że papa, wuj i braciszek opuszczają go na tak długo.

Chwilę szli w milczeniu.

Sir Edward rozkoszował się pięknnością letniego dnia. Henio gonił motyle. Karolowi stanęła w myśli chwila, kiedy szedł tędy z siostrą.

Jej gustem zakładano rabaty i klomby, podziśdzień kwitły tu te same gatunki kwiatów, które niegdyś lubiła młoda dziewczeczka.

— Niepotrzebnie się zgrzeje, — zauważył sir Edward, patrząc na syna, hasającego po trawniku, — jak można biegać w takie gorąco!

— Ładny chłopiec, wygląda zdrowo i silnie, — rzekł Karol.

— Rzeczywiście. Nigdy w życiu nie był chory. Wdał się w mą rodzinę, myślę że będzie wysoki.

— Podobny do waszych portretów rodzinnych, ten sam wzrost, i ciemne oczy. Miluś zupełnie inny, szczupłutki i delikatny.

— Obawiam się, że Miluś odziedziczył naturę matki. Jest bardzo wątki, najmniejsze zaziębienie sprowadza zły kaszel. Często drzę o niego.

— Zmieni się z wiekiem. Jako dzie-

cko miałem delikatne płuca, a jednak wyrosłem na silnego człowieka.

Już mieli wchodzić do kościoła, gdy ich dogonił zdyszany Henio.

Karol pomyślał, że będzie musiał podczas całego nabożeństwa siedzieć przy niespokojnem stworzeniu, i z pewną obawą spoglądał na małego sąsiada.

Wchodząc malec zdjął kapelusz, odgarnął włosy z czoła i skierował się ku staroświeckiej ławce, zajmowanej podczas nabożeństwa przez rodzinę Duncombe. Był to rodzaj stali, do której wchodziło się po kilku stopniach. Zamek u drzwi był bardzo wysoko, chłopczyk nie mógł go dosięgnąć, spokojnie czekał, aż wuj odsunął rygiel.

Karol chciał wejść w przekonaniu, że dziecko usiądzie obok ojca — ale ku wielkiemu jego zdziwieniu, Henio wśliznął się pierwszy, podszedł aż na koniec długiej stali i wdrapał się na wysokie, aksamitem wybite siedzenie — naprzeciw pulpitu, na którym leżała duża książka do nabożeństwa z monogramem: »Adela«.

Wiejscy parafianie nieraz dziwili się, czemu ojciec i syn siedzą tak oddaleni od siebie; tembardziej, że w kolatorskiej ławie nikt oprócz nich nie siadywał — a stary kapłan z trudnością powstrzymy-



wał uśmiech, patrząc na olbrzymią postać baroneta z jednej, a drobniutką figurkę chłopczyny z drugiej strony.

Napróżno Sir Edward proponował dziecku, by się do niego zbliżyło — wolał samotne miejsce. Przychodziło mu niekiedy na myśl, że dziecko chciało siedzieć, gdzie widywał niegdyś matkę — jednak nie przypuszczał, że Henio ma tyle serca i uczucia — więc pozostał przy zdaniu, że to poprostu dziecinny kaprys — i nigdy nie stawiał pytań w tej kwestyi.

Chłopczyk zwierzył się jedynie Milusłowi, jak lubił patrzeć na malowane okna, na którym spoczywały oczy mamy, — jak się cieszył, że opiera nogi na tym samym podnóżku, na którym ona klęczała. Wielki modlitewnik Lady Duncombe za ciężki był na rączki syna, ale z radością kładł na nim swą małą księżeczkę i przyciskał paluszki do srebrnych liter »Adela«.

Nie umiał wytłumaczyć, dlaczego właśnie w starym kościele wszystko przypominało mu matkę — ale tak było w istocie — i niespokojne zwykle dziecko siedziało godzinami w swym kącie, myśląc o niedzieli, w którą był poraz pierwszy na nabożeństwie, patrzył z nią w książkę, i słyszał jej słodki głos, gdy śpiewała święte pieśni.

Tymczasem rozpoczęło się nabożeństwo, — Henio zsunął się ze siedzenia. Dla wieśniaków był to ciekawy widok — wysoki baronet podnosił się powoli, a równocześnie mała główka panicza zniknęła za pulpitem. Karol, nie przygotowany na nagłe zniknięcie, myślał, że siostrzeniec upadł.

— Czemu u licha, nie stanął na taborecie? pomyślał młody człowiek.

Prawdę powiedziawszy i Heniowi przychodziła nieraz ta myśl. Zyskałby trzy stopy, i miałby widok na wnętrze kościoła — ale zwalczał pokusę, bo wiedział, że mama nigdy nie stawała na taburecie. —

Henio lubił śpiewać. Pomimo wszelkich wysiłków nie umiał zastosować się do innych, zawsze kończył zawczasem lub za późno.

Powoli odkrył, że nie można było śpiewać wiersza po wierszu, gdyż powtarzano niektóre wyrazy, a nawet ustępy — ale nigdy nie udało mu się zgadnąć, co będą powtarzać, a czego nie.

Z podziwem słuchał gry starego organisty na temat znanych melodji — raz nawet spróbował trylu na własną rękę — ale ojciec dał mu znak milczenia. — Wuj zauważył, że Henio nie może znaleźć pie-

śni, więc zawezwał go skinieniem głowy, by śpiewał z jego książki. Ale chłopczyk za odpowiedź podał mu swój modlitewnik i prośbę, by wyszukał odpowiedni hymn.

Karol poznał dawną własność zmarłej siostry — na tytułowej karcie wypisała własną ręką »Adela Duncombe«. Tymczasem sędziwy kapłan wstępował na ambonę. Henio usadowił się w krześle, zupełnie jak ojciec.

Zawsze sumiennie naśladował pozycję baroneta, co połączone było z nie małym trudem. Nieraz, gdy to już osiągnął, Sir Edward założył nogę na nogę, albo oparł głowę o poręcz, i trzeba było znowu zamieniać pozycję.

Dzisiaj poszło bardzo łatwo. Sir Edward skrzyżował ręce, zwrócił się ku ambonie i począł słuchać w skupieniu.

To samo zrobił Henio. Kaznodzieja wybrał sobie za temat nauki XIV. rozdział objawienia św. Jana. Słyszałem głos z nieba jakby głos wielkich wód — i słyszałem harfiarzy grających na harfach. I śpiewali nową pieśń i żaden żywy nie mógł nauczyć się tej pieśni, tylko stoczierdziesiętu i czterech, którzy byli wybrani.

Henio często myślał o czem innym podczas kazania, ale dziś słuchał uważnie, bo

mówiono o niebie, gdzie przebywała mama.

Słowa ludzkie słabe są i niewystarczające do opisu piękności, których »oko nie widziało, a ucho nie słyszało« — ale treść tak żywo wszystkich obchodziła, że niebawem mówca porwał słuchaczy, i nappełnił ich serca radością i nadzieją — w ciszy i skupieniu wchłaniali słowo boże — nawet dzieci słuchały uważnie — boć przecie wszyscy dążymy do wspólnej ojczyzny, i wszystkich obchodzi kraina, gdzie kiedyś wiecznie cieszyć się będziemy. W kościółku nie było nikogo, któryby sobie powiedział: Co mnie do tego?

Tylko dwa razy uwaga Henia została odwróconą.

Pierwszy raz, gdy ujrzał jak wuj wyjął z kieszeni ołówek i coś podkreślał w książce. Uderzyło to chłopczyka, postanowił sprawdzić, co Karol robi.

Wuj podał mu książkę i pokazał, że znalazł w niej i podkreślił słowa Pisma św., o których mówił kapłan w kazaniu.

Henio postanowił odtąd zawsze przynosić ołówek do kościoła i robić jak wujaszek.

Następna przeszkoda w nabożeństwie była innego rodzaju. — Wędrująca osa, nalatawszy się po kościele wtargnęła

w końcu do presbiterium i wybrała Karola za ofiarę. — Henio uderzony brzękiem obejrzał się, i zobaczył wuja w położeniu rozpaczliwym.

Rzucił głową w tę i ową stronę, cofał się i pochylał naprzód — od czasu do czasu machał ręką w powietrzu, by spłoszyć natrętny owad.

Henio wszelkiemi siłami chciał zachować powagę, właściwą świętemu miejscu — ale pokusa była silniejszą — kąciki ust poczęły drgać stłumionym śmiechem — wreszcie, chcąc się wstrzymać od głośnego wybuchu wesołości, wtłoczył piastkę do buzi.

Karol był zły, że napad osy przeszkadza mu w słuchaniu kazania, a gdy do tego zobaczył minę siostrzeńca, pochwycił księżkę i uderzył przeciwnika.

Uderzona osa spadła na ziemię, gdzie czekała ją nielitościwa śmierć pod butem młodzieńca.

Z zadowoleniem skonstatował, że Henio znów przybrał skupioną minę, i rodzina już bez przeszkody słuchała kazania. A kazanie było tak ciekawe, że chłopczyk, chwytając każde słowo.

Kaznodzieja mówił o pięknych i dziwnych rzeczach, o dziesięciu tysiącach wybranych, co w białej szacie chodzą za

Barankiem w złotej Jerozolimie, o murach z jaspisu, o wielkim tłumie, którego żaden człowiek nie może policzyć, o ludziach różnych krajów, plemion i różnej mowy. A wszyscy łączą swe pienia, i powstaje hymn, jakoby głos wielu wód, i potężny niby grzmot rozlega się świętymi słowy: Alleluja — cieszymy się, bo panuje Pan, Bóg wszechmocny. »Oko nie widziało«, kończył kapłan, jakby mu brakło wyrazów na opisanie chwały i piękności Syonu, »oko nie widziało, ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie weszło, co Pan zgotował tym, którzy Go kochają«. Niech mu chwała będzie aż po skończenie czasów, temu co nas ukochał, i krwią własną odkupił — cześć mu i dziękczynienie po wiek wieków, Amen.

Organy zaczęły grać — otwierano i zamykano drzwi — parafianie tłumnie wypływali z kościoła.

Staruszek kaznodzieja stał jeszcze na ambonie, patrząc za odchodzącymi, i rozważając w duszy, na ile serc upadnie jego słowo i zapaści korzenie, a owoc przyniesie.

Sir Edward Duncombe jeszcze został chwilę po skończonem nabożeństwie. Podpadło mu skupienie syna, i zastanawiał się, o czem chłopczyk myśli. Wstał do-

16

piero, gdy kaznodzieja znikł w drzwiach zakrystyi.

Na dworze, lekki wiatr ochłodził rozpalone czoło Henia. Cicha piękność letniego poranka harmonizowała z obrazami, które kazanie wywołało w głowie dziecka. Pod czystym niebem leżała okolica w pełnym rozkwicie. Gdyby ogólnikowe myśli mogły się skryształizować w małym mózgu, kto wie, czy nie oblekłyby się w pytanie: — Czy raj może być jeszcze piękniejszy? Długie namyślanie nie leżało w naturze malca — wnet wyprzedził ojca i wuja, i biegał, pokrzykując wesoło i wzbijając bucikami tumany kurzu.

U drzew parku czekali na nich Miluś i Wirginia. Braciszki wzięli się za ręce.

— Mówił ksiądz na kazaniu o moim katechizmie? — spytał młodszy. Miluś uczył się ośmiu błogosławieństw, i regularnie stawiał to pytanie co niedzielę.

— Nie — nie mówił. Opowiadał o ostatniej księdze Pisma świętego, o Objawieniu.

— Czy ty rozumiesz Objawienie?

— Naturalnie, odparł pewny siebie Henio.

— A Wirginia nie rozumie, rzekł mocno zdziwiony Miluś, i mówi, że mało dorosłych rozumie.

— Wirginia jest Francuską, objaśnił Henio, a Objawienie jest napisane po angielsku. Naturalnie, że nie może tak dobrze rozumieć jak ja. Patrz, tam leci motyl! Złapmy go!

I Miluś, najzupełniej przekonany bra-

terskim argumentem pobiegł za uciekającym motylem. Niedzielne poobiedzie Wirginia



zużywała na odwiedziny i przechadzki. Panowie poszli na nieszpory — dzieci zostały pod opieką pokojowej, Joasi.

Henio uczył się katechizmu, powtarzał z zapalem wiersz po wierszu, bo chłopczyk zwykle gorliwie zabierał się do pracy — szkoda tylko, że prędko chłodził w swej gorliwości.

Miluś siedział na kolanach pokojowej i obracał strony Pisma św. z obrazkami.

Podpadła mu rycina, przedstawiająca wskrzeszenie Łazarza i zapytał się o znaczenie. Joasia myślała, że od dzieci trzeba troskliwie usuwać wszystko, co ma styczność ze śmiercią i chorobą — to też odpowiedziała wymijająco i chciała odwrócić kartę — ale chłopcy bywają czasem uparci i niełatwo dadzą się odwieść od pierwotnego zamiaru. Gdyby Miluś był dziewczynką,



przeszedłby nad obrazkiem do porządku dziennego, bo umysły dziewczęce są więcej powierzchowne: zadawalają się skorupką, zostawiając jądro nietknięte, lecz będąc chłopczykiem, podniósł swe wielkie pytające oczęta ku twarzy Joasi:

— Czemu mi nie chcesz powiedzieć? — zapytał, kładąc rączkę na karcie. — Chcę wszystko wiedzieć. Co znaczy ta wielka dziura? I czemu tego pana zaszyli w białe prześcieradło?

Joasia, przyciśnięta do muru, przyznała w końcu, że ta dziura jest grobem.

— Panicz Miluś za mały, aby zrozu-

miał, a jeżeli chce wiedzieć, niech zapyta panny Wirginii.

— Naturalnie, wiem, że ludzie umierają, rzekł Miluś; — mamusia umarła. Widzisz, że się mylisz, Joasiu, kiedy myślisz, że nie rozumiem. Wiem wszystko — kiedy kto umrze, to zapakują go w duże pudło i włożą w ziemię — a jeżeli był dobry i słuchał Anioła Stróża, to Bozia przyjdzie i wyjmie go i zabierze do raju.

Henio zbliżył się do rozmawiających, usłyszał ostatnie słowa braciszka i spojrział na Joasię z uśmiechem, wykazującym, że trzy lata starszy, ma zupełnie inne pojęcia.

— Gdyby Mama żyła, toby ci to wiele dokładniej wytłumaczyła. Raz mi mówiła, że nasze martwe ciało jest nasieniem, które się rzuca do ziemi — ale wnet zamieni się w śliczny kwiat. Tylko już nie pamiętam, jak to powiedziała — dodał z westchnieniem, a szkoda!

— A pamiętasz może, co mówiła o tym obrazku, pytał Miluś, podając książeczkę? Ale Henio napróżno usiłował przypomnieć sobie słowa matki. Coś mu się majaczyło, ale nie potrafił opowiedzieć powlastki. Poprosili Joasię, by ją przeczytała.

Joasia jąkała się, wymawiała niewyraźnie, i nie zważała na znaki pisarskie. Piękna ewangelia o wskrzeszeniu Łazarza straciła na uroku. Dzieci jednak słuchały uważnie, zadawałając się tem, co im ofiarowano.

Bledne duszyczki, rozchylające się, nieśmiało ku słońcu wiadomości a skazane na naukę prostej dziewczyny. Pozbawione słodkiej nauki, co tak mile płynie z ust ukochanej matki, lekcyi, które brzmiały w sercu dorastającego mężczyzny, wtedy nawet, kiedy już umilkły na wieki wargi, co je niegdyś wypowiadały.

Nauki, które wyobraźnia łączy z obrazem matki, są najtrwalsze i najwięcej w życiu znaczą.

Wspomnienie lat dziecięcych utrwała w umyśle cały szereg przelotnych chwil: dźwięk znanego głosu — obraz postaci opartej na krześle, białej ręki, trzymającej książkę.

I teraz, gdy piszę, wyłania się z ciemności obraz matki z dzieckiem. Widzę słodkie oczy, patrzące na małego słuchacza. Widzę powagę, rozlaną na cudnej twarzy, prawie słyszę dźwięk łagodnego głosu, który tłumaczy boskie tajemnice dziecięciu.

I widzę, jak oczy dziecka błyszczą i rozumieją pod wrażeniem słyszanych słów i młody umysł chwyta iskrę jej natchnienia.

— Chłopcy, zawołał z dołu Sir Edward, wujaszak i ja idziemy na przechadzkę. — Kto chce, może zostać w domu! Na takie wezwanie istniała tylko jedna odpowiedź: w oka mgnieniu dzieci były na dole.

Poszli do stajen, na folwark, potem na przelaj przez łąkę, by obejrzyć stogi siana — wreszcie na pola, aż do wrót, skąd był najpiękniejszy widok na całą okolicę.

— Gdyby pogoda wytrzymała jeszcze jakie dwa tygodnie — rzekł baronet, obejmując oczyma łany pełne dojrzewających zbóż. — Spodziewałem się obfitego żniwa, co? Karolu!

— Będziemy mieli wspaniałe zbiory, — wtrącił Henio, który lubił mieć o wszystkim własne zdanie, i nigdy nie tracił sposobności objawienia go światu — będziemy mieli tyle ziarna, że sam nie wiem, co z niem zrobimy.

— Także ambaras, zaśmiał się ojciec. — Ale jeżeli pierwsza część twej przepowiedni się spełni, to sprawię huczne dożynki z tańcami, a ty z Milusiem popro-

wadzicie zabawę z najgrzeczniejszymi dziewczynkami we wsi.

— Ja już wiem z kim będę tańczył, rzekł Henio, który tymczasem wdrapał się na wierzch bramy; — ale to nie dziewczynka, jest już dorosła, zupełnie stara. Zdaje mi się, że ma dwadzieścia lat. Ładna też nie jest. Ale nie chcę tańczyć z małemi dziewczynkami, to za dziecinne.

— Kto jest tą szczęśliwą damą? —  
— spytał ubawiony wuj Karol.

— Wcale żadna dama, rzekł oburzony Henio, — to Dolly, praczka, co nosi chodaczki i zawinięte rękawy, a ręce ma takie czerwone jak policzki. Dolly nie jest damą.

— Tylko w niedzielę, wtrącił Miluś, — bo wtedy spuszcza rękawy i bardzo ładnie się stroi. Dzisiaj włożyła do kościółka buciki z guziczkami.

— Z tego powodu nie jest jeszcze damą, rzekł lekceważąco starszy chłopczyk. — Nie można ci wytłomaczyć, co znaczy dama, boś nigdy jej nie widział.

Myślał o mamusi.

— A pani Warden?

Warden był administratorem w majątku ojca.

— Nie, ona też nie jest prawdziwą da-

mą, to co się nazywa dama. — Widzisz Milusiu, tu zniżył głos i pochylił głowę do uszka brata, aby go nikt inny nie słyszał — nigdy nie zrozumiesz, bo nie pamiętasz mamusi.

— Nie, nie pamiętam, powtórzył mały. Wiedział z doświadczenia, że na podobny argument nie było odpowiedzi.

— A z kim potańczy mój Miluś, spytał Sir Edward, pewnie z jaką malutką dziewczuszką.

— Chciałbym dziewczynkę stróża, proszą papy, — to jest jedyna dziewczynka mniejsza odemnie.

— Bardzo dobrze — obaj już wybraliście. Karolu musisz przyjechać na dożynki. Henio ze swą fundamentalną tancerką i Miluś z jedyną dziewczuszką mniejszą od siebie! Co to za widok!

Z uśmiechem spoczywały ojcowskie oczy na ślicznych dzieciakach.

— Kiedy to będzie? Papo, niech papa oznaczy dzień rozpoczęcia żniwa.

— Przedtem musi ziarno dojrzeć, rzekł ojciec.

— Żniwa zaczniemy, kiedy żółte kłosy zbrązowieją. W tym roku mam żniwiarke — robota pójdzie w mig.

— Codziennie przyjdę tu do bramy i zobaczę, co się dzieje z kłosami, mówił Miluś.

— Wiem lepszy sposób, zaproponował Henio, zeskakując bramy. Wyrwał garść zboża z korzeniami. Za-

biorę ze sobą i włożę między okna, codziennie będziemy się przypatrywać, o ile dojrzały.

— Mały głuptasku — wyrwałeś je wcześniej, pouczył ojciec. Teraz już nigdy nie dojrzeją.

Henio popatrzył z żalem na swe kłosa.

— Już nigdy nie dojrzeją, powtórzył smutnie Miluś.

— Nie kłopot się, Milusiu, pocieszył braciszek. — Posadzę je w najstaranniejszy kącik naszego ogródka — gdzie ziemia jest lepsza niż tu — i gdzie napewno lepiej i wyżej wyrosną, niż gdybym je tu zostawił.

— Może mi kiedy podziękują, że je wyrwałem z dzikiego pola, i posadziłem w piękniejsze miejsce.



Miluś zaklaskał z radości.

— Pewnie, że podziękują, rzekł uszczęśliwiony myślą brata.

Miluś opierał się o bramę, patrząc z zachwytem na Henia, siedzącego na najwyższym poprzecznym drążku z pękiem kłosów w opalonych łapkach.

— Chodźmy, rzekł nagle baronet — tak tu parno — pod lipami jest chłód i cień. — Dzieci pobiegły pędem, starsi szli powoli za nimi.

Pod lipami wszyscy usiedli w trawie — i chłopcy prosili ojca o powiastkę.

— Marynarze umieją śliczne historyjki — odpowiedział Sir Edward. — Poproście wujaszka.

A wujaszek wcale nie dał się prosić. — Opowiadał o rekinach i krokodylach, o polowaniach na odyńca i nadzwyczajnych przygodach na lądzie i morzu.

Dzieci chłonęły każde słowo — linie wydłużały się — słońce zachodziło za złote łany, a oni jeszcze słuchali. Ojciec bawił się spoglądaniem na swe pociechy.

— Chodźmy — rzekł — bo chyba przyjdzie nam tu nocować. Już szósta. Wirginia napewno się dziwi i myśli, żeśmy poginęli.

— Och! zawołał Henio, wzdychając głęboko, jak ktoś, który musiał opuścić

27



świat czarów, przywołany do rzeczywistości wspomnieniem Wirginii. — Co za cudne historye. — Papo, jak dorosnę, to będę marynarzem, nieprawda?

— Nie wiem, czy będziesz miał powołanie — ale zostaje nam dużo czasu do namysłu.

— Ja też chcę być marynarzem, poprosił Miluś.

— Nie, pieszczotko, — odparł Sir Edward — nie mógłbym się bez ciebie obyć, drogi synku.

Zatrzymał się, by uściskać dziecko. — Henio odwrócił głowę, przyglądając się uważnie kłosom.

Ciekawym, czy jest zazdrosny, pomyślał wuj, usiłując nieznacznie zajrzeć pod słomkowy kapelusz.

Ale zanim miał czas do zbadania, oczy chłopczyny zabłysły radością na widok wielonożnego robaka, który z trudem pełzał po kłosie.

— Do domu dzieci!

Pan Edward ze szwagrem poszli aleją, dzieci biegły przed nimi.

— Wszystkie sceny z twych historyi rozegrają się niebawem w domu, wierzaj mi, Karolu, nie chciałbym być w skórze biednej Wirginii.

Chłopcy pospieszyli się z kolacją, by

mieć więcej czasu na rozmowę ze starszymi. Lecz ojca zaniepokoiły wypieki na twarzy Milusia i nie pozwolił na opowiadanie podniecających powiastek.

— Ale wujaszek jutro skończy powiastkę o krokodylu? przymiłał się Henio.

— Jutro wyjeżdżam raniutko!

— Już! Co za krótka wizyta!

— Co za krótka wizyta, powtórzył Miluś, zawsze i wszędzie echo braciszka.

— Na przyszły raz przyjadę na długo, obiecał Karol, pieszcząc siostrzeńców.

— Kiedy będzie przyszły raz? nastawał Henio.

— Tak, kiedy będzie przyszły raz?

— mówił Miluś.

— Czy ja wiem?  
— rzekł prawie do siebie Karol.



22

### Rozdział III.

— Tyle mam w głowie planów, mówił Henio do Milusia, że chyba pęknę. Chłopcy stali na ganku, śledząc powozik, unoszący ojca i wuja Karola. — Niektóre historie wujaszka można będzie łatwo samemu powtórzyć. Bałbyś się wejść na wielkie drzewo, wiesz to, którego gałęzie wiszą nad stawem, tam, gdzie rosną lilie?

— Nie bałbym się, ale musisz wejść pierwszy, i podać mi rękę. — Tylko że staw jest bardzo daleko — nie lepiej wejść na lipę w ogrodzie?

— O nie, nie byłoby zabawy. Pamiętasz, dziki w historyjce wuja pelzał po gałęzi nad wodą? A tamto drzewo ma właśnie taką gałąź, co zwiesza się nad wodą — chcę po niej pelzać jak dziki.

— Może zapytać Wirginii, czy nam wolno iść samym — poddał Miluś, w nadziei, że owa wyprawa jednak nie przyjdzie do skutku.

Ale argument nie trafił starszemu do przekonania, i ruszyli natychmiast.

Dzień był gorący — a poza folwarkiem ciągnęło się pole bez krzaczka lub drzewka.

Henio podskakiwał, Miluś wyciągał jak mógł nóżki, ale słońce świeciło mu prosto na główkę — i wnet zmęczył się bardzo.

Henio nie zauważył, z jakim trudem szedł malec, i przeraził się niemało wołaniem:

— Heniu, Heniu, proszę, stań chwilkę, ja już nie mogę się ruszyć.

Natychmiast pobiegł do braciszka.

— Takim zmęczony, tak mi strasznie gorąco, chodźmy do domu!

— Co znowu jesteśmy tuż przy stawie. Patrzaj, zaraz za łąką jest pole pszenicy, a za tem drzewo.

Miluś spojrział we wskazanym kierunku — droga wydała mu się bardzo daleka, a nigdzie cienia!



— Spróbuję, rzekł posłusznie.

— Wiesz co, poniosę cię!

Te zamysły brata zaniepokoiły cokolwiek Milusia, ale nie przeczył.

Przeleż przez płot, a potem

23

przenieś cię polem i będziemy przy stawie, a tam musi być chłodno.

Przeleźli przez płot, i starszy wziął młodszego na rękę. Biedny Miluś!

Jedno ramię brata tak mocno obejmowało go za szyję, że się prawie dusił — drugie przyciskało nóżki — aż do bólu. Pomimo to, miał wrażenie, że zaraz upadnie na ziemię. — Cóż dopiero, gdy Henio biedz zaczął!

Z początku puścił się kłusem, ale szybkość ruchów wnet się zmniejszyła, a po kilku minutach przyszło mu na myśl, że zadanie jednak przechodzi jego siły.

Gdy do tego Miluś poruszył się raz i drugi, Henio w obawie, by nie spadł, tak zacieśnił uścisk, że mała ofiara nie mogła powstrzymać okrzyku bólu.

W tejże chwili noga Henia trafiła na króliczą jamę. — Obaj upadli w trawę. Starszy zaśmiał się wesoło, ale Miluś czuł się tak zmęczony, że błagał brata o chwilę spoczynku.

W pobliżu stał jakiś płot — w cieniu zasiedli obadwaj.

— Może jednak wrócimy, Milusiu — pójdziemy wieczorem, jak będzie mniej gorąco — nieprawda, gdyby nie upał, tobyś doszedł?

— O tak, przyznał Miluś. Zgodziłby się na wszystko, byleby go na razie nie ruszać z miejsca.

— Bardzo dobrze. Więc wracajmy. Przyjdziemy tu dziś po kolacy. Patrz, patrz, krzyknął radośnie! Grzyb wyrósł!

Patrz jaki wspaniały! Jak ślicznie pachnie — jak łatwo odchodzi skórka. Gdyby tatuś był w domu możnaby go było ugotować na obiad. Tatuś bardzo lubi grzyby.

— A nie można go schować do piątku na obiad dzikich? — spytał Miluś.



— Jeden-  
by nie wy-  
starczył. Ale  
możemy tu  
przyjść  
wczesnym  
rankiem na-  
zbierać pełen koszyk. Wstaniemy bar-  
dzo rano i przyjdziemy na grzybobra-  
nie. Dopiero będzie zabawa.

— Wirginia nie wstanie, by mnie u-  
brać!

— Nie troszcz się o Wirginię! Ubiore  
cię — myślę, że Wirginia nie zechce wstać  
rano — a lepiej jej nie budzić. Biedaczka  
późno się kładzie — i jest rano bardzo nie-  
wyspana.

24

— Biedaczka! — rzekł Miluś.

— A przytem zawsze sobie wyobraża, że nas spotka coś strasznego, jeżeli jej przy nas niema. Nie trzeba jej napróżno robić przykrości.

— Naturalnie, przytakiwał Miluś. Co to za hałas? Kogut pieje, czy co? Czy wół ryczy?

Obaj słuchali.

Otoczyły ich szmery wiejskiego dnia, — pszczoły brzęczały nad koniczyną — polne koniki świerkały w trawie — na pobliskim folwarku piał kogut. Uwagę Milusia zwrócił inny dźwięk i zbliżający się głos kobiety?

— M. Heniu, M. Milusiu! — rozlegało się w znanym języku, — gdzie jesteście?

— To Wirginia — krzyknęli równocześnie. Rzeczywiście była to bona — wyrażała głośno oburzenie, że uciekli tak daleko od domu w upalny dzień!

Tysiąc wymówek spadało na głowę Henia — jak można było narażać Milusia na zmęczenie, jak można było ją, Wirginie, przyprowadzić o strach i zmuszać do biegania po upale. — Zakończyła pytaniem:

— A wasze lekcye? — Wiecie, że już po południu?

Henio nie miał dokładnego pojęcia o czasie — nie zdawał sobie sprawy, jak

długo może trwać godzina. Oczywiście nie naprawił winy twierdzeniem, że myślał, iż niema jeszcze dziesiątej.

Wirginia zachowała pełne godności milczenie. W domu okazało się, że obiad będzie za kwadrans — nie warto więc rozpoczynać lekcji — ale zapowiedziała, że po południu trzeba dogonić czas stracony i odrobić zadania.

Kara dotkliwie dotykała Milusia — bo Henio dość lubił naukę i nie sprawiałaby mu przykrości, gdyby nie fakt, że musiał siedzieć na jednym miejscu. Ale dla Milusia lekcye były okropnie nudne. Nie wolno mu było rozmawiać, zabawiać się budowaniem domków z kart, lub przeglądaniem obrazków. — A do tego musiał tak siedzieć, żeby jego widok nie rozpraszał starszego.

Po obiedzie Henio próbował wytłomaczyć bonie, żeby im pozwoliła odrabiać zadania na trawie pod drzewami — na co się nie zgodziła. — Wiedziała z doświadczenia, ile pokus czyha na chłopczyka. — To pies zaszczekał — to przeszedł ogródnik — to znowu motyle i pszczoły odwracały uwagę od przedmiotu. Każda pliszka, każdy spadający liść stawały się przyczyną roztargnienia.

Henio nie prosił więcej — otworzył

25

książkę i ze zrezygnowaniem westchnieniem zabrał się do pracy. Dawniej, gdy żyła mama, nie odmówiłoby mu z pewnością. Pod owym drzewem siedzieli oboje, gdy uczyła go liter. Zdarzało się, że oczy dziecka pogoniły za muszką lub ptakiem, wtedy upominała łagodnie.

— Uważaj, mój drogi.

I Henio z zapamiętaniem dalej sylabizował.

A po lekcji zamykał radośnie książkę — a ona zawsze go uściskała w nagrodę za trud.

— Teraz idź się bawić, synku, biegaj, ile ci się podoba!

Cieszyła się na równi z dzieckiem, że jego praca się skończyła, i może wrócić do słońca i ruchu!

Przeszło godzinę głęboka cisza panowała w pokoju dzieci, przerywana wspomnieniami Wirginii.

— Siedźcie prosto! — Nie opieraj ramion na stole! Nie uderzaj nogami krzesła!

Od czasu do czasu Miluś spoglądał na arcydzieło z kart, i zmartwiony, że braciszek nie może go podziwiać, przewracał wspaniałą gmach i budował inny.

Zdawało mu się, że czas uwolnienia Henia już od dawna przeszedł — tymcza-

sem Wirginia nie dawała znaku do złożenia książek.

Miluś wzdychał głęboko — ukradkiem ocierał oczki — nic nie pomagało.

Nareszcie wybiła czwarta.



Bona naznaczyła czytany rozdział — zamknęła książkę i wstała od stołu.

Hura! — zawołał Henio.

Obaj malcy poskoczyli ku so-

bie, po chwili rzucali się po dywanie, wydając radosne okrzyki.

— Zaraz, po podwieczorku pójdziemy nad staw — szepnęła Henio.

Ale Francuzka miała inne plany — poszła z wizytą do dworku dzierżawcy i zabrała dzieci ze sobą.

Rozmowa o strojach i Paryżu nudziła braciszków. — Miluś zaczął się bawić kociętami. Henio wszedł na ła-

weczkę i zaczął ciągnąć kurek od strzelby, wiszącej na ścianie.

— Chcę tylko zobaczyć, czy nabita, szepnął Milusiowi.

Odwiedziny trwały bardzo długo — gdy wrócili, trzeba było iść do łóżka.

Henio pilnie patrzył, jak Wirginia rozbierała braciszka — chciał się nauczyć w jakim porządku nakłada się pojedyncze części garderoby. Na widok licznych guzików i tasemek począł wątpić, czy sam dojdzie z tem do ładu.

Wirginia tymczasem rozpiniała i rozwiązywała jedno po drugim.

— Proszę się nie spieszyć, zawołał, nie widziałem, jak się zdejmuje bluzkę.

Bona spojrzała zdziwiona — bodzieliom w jej obecności wolno było jedynie posługiwać się językiem francuskim. Oburzonej nieposłuszeństwem nie podpadło zainteresowanie się tak codzienną sprawą, jak rozbieranie Milusia.



*tu czytane*

## Rozdział IV.

Milus śnił, że siedzieli obaj z Heniem na zielonej ławce i pletli wieniec ze stokrotek. Naraz nadleciała chmara komarów, i zaczęła mu brzęczeć koło twarzy. Bzz, Bzz, uderzało go w policzki, — nie mógł się opędzić. Prosił braciszka o pomoc, ale tak silny wicher zadał, że upadł i począł się staczać z pagórka gdzieś na dół. Wyciągnął ręce i obudził się. Zginęła ławka, stokrocie, komary, natomiast Henio gwałtem wyciągał go z łóżka.

— Nareszcie! Myślałem, że się nigdy nie zbudzisz! Wszystkiego próbowałem. Rzuciłem ci w twarz okruszyny, dmuchałem w ucho, trząsałem tobą, aż się zmęczyłem. Wiesz, nie chciałem wołać, by nie zbudzić Wirginii. Teraz bądźmy cicho, bo słyszałem jak się ruszyła.

— Czego chcesz, — spytał Milus, trąc oczki — i czemu wyszedłeś z łóżka o północy?

— O północy! toć to dzień jasny. Patrz na dziurę w okiennicy, już słońce świeci. Nie śpię od dawna, — słyszałem jak koguty piał, — patrzałem, jak powoli stawało się coraz jaśniej.

Zanim jednak skończył opowiadanie, senny malec znów położył główkę na poduszce.

— Milusiu, Milusiu! — szeptał Henio z rozpaczą!

— Dobranoc, Heniu.

— Znowu usypiasz, — rzekł mu Henio do ucha.

— Ależ nie, — odpowiedziało już przez sen dziecko.

— Usypiasz, — zawołał Henio — zapominając w podnieceniu, że mówi bardzo głośno.

— Nie, nie, — zapewniał Miluś, ale na próżno otwierał szeroko oczy, — senne powieki same zapadały.

Łóżko Wirginii zatrzeszczało, — Henio wstrzymał oddech.

Alarm był fałszywy, — bona przewróciła się z boku na bok, — zato Miluś skorzystał z przerwy i usnął.

Henio rozpoczął atak.

— Wstawaj, — zbudź się!

Miluś usiadł na łóżku.

— Co się stało?

— Nic się nie stało, — pamiętasz, mieliśmy wstać, i iść na grzyby?

Miluś pamiętał, ale piękny plan wydawał mu się innym, niż wczoraj.

— Mam wstać?

— Tak, — odpowiedział energiczny braciszek, — jak wyjdziemy w pole, będzie ci bardzo miło. Chcę cię naprzód ubrać, — spiesz się, wyskocz z łóżka, zapomnisz o śnie.

Miluś był blizkim płaczu.

— Tak mi się chce spać.

— Zaraz ci się odechce, — rzekł Henio, odrzucając koidrę.

— Idźmy lepiej jutro.

Henio odwrócił się po pończoszki i buciki Milusia — nie słyszał więc propozycji. Gdy podszedł do łóżka, dostrzegł ku wielkiemu przerażeniu, że Miluś znów leży.

— Co mam zrobić? — pomyślał już z rozpaczą — uderzony nagłą myślą pobiegł w głąb pokoju.

Miluś podniósł głowę, by zobaczyć, co robi braciszek.

— A to co? — zawołał przerażony, widząc, jak Henio dzwiga w dwóch rękach dzban z wodą?

— Widzisz, — odpowiedział tamten zadywany — bo dzbanek bardzo mu ciążył — najlepszy sposób zbudzenia, jest prysnąć komu w twarz zimną wodą.



— O! już się zupełnie obudziłem — naprawdę, — przerwał Miluś, szybko wychodząc z łóżka, — już nie trzeba wody. Patrz na moje oczy.

I dziecko otwierało szeroko błękitne oczęta. Zadowolony Henio postawił dzban na podłodze. Miluś wolałby, żeby niebezpieczeństwo było gdzieś dalej, np. na urywalni.

— Jeżeli ci za ciężki, to sam poniosę, dobrze? — zaproponował.

Odpowiedź była bardzo niepokojąca.

— Niech lepiej tu zostanie, — gdybyś miał znowu usnąć, musiałbym go przynosić.

Zaczęli się ubierać.

Henio podał Milusiowi pończoszki a sam szybko się ubierał i już miał nakładać

bluzkę, gdy zauważył, że malec patrzy przezerażony na nóżkę. Nic dziwnego! Palce były w miejscu, gdzie zwykle bywa pięta!

— Nie mogę sobie dać rady z pończochą!



— Pomogę ci, — rzekł starszy, chwytając brata za nóżkę, przyczem go nieomal wyrócił. Potem naciągnął mu pończoszkę, ale na lewą stronę.

— To nic nie szkodzi, — zapewniał Milusia. Ale wnet zaszło coś, co »szkodziło«: bucików nie przyniesiono jeszcze.

— Pójdziemy w pantoflach, — zdecydował Henio.

Delikatny chłopczyk wziął cienkie pantofle, które nie mogły go zabezpieczyć od zimnej rosy. Potem zdjął koszulkę nocną i zaczęła się dzienna toaleta. Ale gdy przyszło do wiązania tasiemek — Henio stracił głowę.

— Przytrzymaj majtki rękoma — ja prędko nałożę ci bluzkę i mocno ściągnę paskiem — to się musi trzymać. Miluś zgodził się na to — zresztą nie miał wyboru, bo Henio zaproponował, że weźmie dużą śpilkę i przypnie majtki, by nie spadły!

— Nie wiem czemu mi tak zimno, — rzekł Miluś dygocąc.

— Nie trzęś się! Wszystko ci opadnie. Weź kapelusz i chodźmy!

— Nie kąpałem się jeszcze.

— I ja nie! Zapomnieliśmy! A to co? — dodał, podnosząc z krzesła trykotową koszulkę.

— To moja, — odpowiedział Miluś.

29



— A widzisz! Dla tego było ci zimno. Teraz nie mamy czasu na rozbieranie. Chodź — stąpaj cicho!

Wyszli na palcach i naturalnie zostawili drzwi otworem.

Zegar w hali wskazywał zaledwie wpół do szóstej — drzwi i okna były jeszcze zamknięte. Światło przedzierało się przez szczeliny w okienicach; w półmroku hali schody dziwnie jakoś wyglądały. Miluś rozglądał się nieśmiało i mocniej pochwycił rękę brata. Biblioteka i pokój bilardowy wydawały mu się zupełnie inne, niż zawsze.

Ktokolwiek wstał o niezwyklej porze i obejrzał mieszkanie zanim je służba uporządkowała, nie zdziwił się uczuciom dziecka.

Krzesła i stoły mają jakiś odmienny wygląd — każdy sprzęt zda się inny. Znamy je tylko jako konieczne dodatki naszej egzystencji — w jasny dzień lub przy sztucznym świetle. W mroku są obce, niby tajemnicze — żyją własnym życiem, z którego jesteśmy wykluczeni.

Jan Christian Andersen poznał i opisał te uczucia, przekładając scenę jednej ze swych baśni do salonu o brzasku i obdarzając martwe meble ludzkimi przymiotami.

Braciszkanie przeszli przez cieplarnię

do domku, gdzie przechowywano narzędzia ogrodnicze. Zabrali stamtąd kilka koszyków.

Obfita rosa świeciła na kwiatkach i trawach, a gdy wyszli na łąkę, stopy i nóżki uciekinierów były zupełnie mokre. Na widok pierwszego grzybka Henio krzyknął z radości i pędem ruszył ku niemu. Wnet ujrzał jeszcze inne — zbierał je z pospiechem i niebawem zniknął z oczu Milusia, — który ze swym koszykiem pozostał w tyle. Z początku zatrwożyło go poczucie samotności, ale gdy się przekonał, że w pobliżu nie było buhaja, ani rozbójników, nabrał odwagi, i pośpiewując zaczął napełniać koszyk. Zdziwiło go, że Henio nie zauważył tuż obok masy grzybów. A były między nimi śliczne — czerwone i zielone po wierzchu, a białe pod spodem, i takie wielkie, jak miseczki!

W mig koszyk był pełnusięńki, — dziecko usiadło pod drzewem, by trochę odpocząć.

Ranek był nieco chłodny, — brak flanelowej koszulki dał się dotkliwie odczuwać. Nóżki zziębły Milusiu, zaczął biegać tu i tam, by się trochę rozgrzać. Zobaczył z daleka Henia.

— Chodź, chodź, prędko, — nazbierałem

30

cały koszyk prześlicznych grzybów. Tam są pod drzewem.

— Popatrz tu, — rzekł Henio, pokazując koszyk, — a co?

Milusz zaraz spostrzegł, że grzyby braciszka jakoś inaczej wyglądają.

— Moje są inne, — rzekł nieśmiało.

— Nie nazbierałeś przypadkiem muchomorów?

— O nie, napewno nie! a jak wyglądają muchomorzy?

— To są obrzydliwe, żółte talerzyki, rosną tu masami na łące. Gdzie twoje grzyby? Pokaż mi prędko!

— Tam pod drzewem.

Chłopcy pobiegli.

— Same muchomory — oznajmił Henio, wypróżniając koszyk. — Ani jednego prawdziwego grzyba. Wiesz, że to trucizna.

Milusz patrzył na swój plon oczkami okrągłymi z przerażenia.

— Szczęście, że je zobaczył przed ugotowaniem, — zapewniał uroczyście Henio, — pomyśl, wszyscy dzicy pomarliby od trucizny i to z twojej winy.

— O Heniu — rzekł przerażony Milusz, — trzeba je wyrzucić.

— Potratujemy je, wtedy nikomu nie zaszkodzą.

Poczęli deptać muchomory, aż pantofelki i pończoszki pokryły się lepka masą.

— Co powie Wirginia, — zaśmiał się Henio, patrząc na nogi?

— Co powie? — powtórzył ubawiony Milusz. — Naraz przerwał, uderzony nagłą myślą.

— Heniu! nie mówiłem jeszcze pacierza!

— Jezus Marya! I ja zapomniałem!

— Co zrobimy? Trzeba wracać do domu!

— Myślę, że nie, można modlić się na dworze.

— Ależ można! Zmówimy pacierz pod drzewem.

Henio szybko ukląkł, ale jeszcze szybciej powstał.

— Trzeba ci wiedzieć Milusiu, że musimy zdejmować kapelusze.

Wszyscy tak robią, zanim

wejdą do kościoła. Naturalnie ty nigdy o tem nie słyszałeś, boś mały, i do kościoła cię nie zabierają.

Milusz wysłuchał informacji z wielkim szacunkiem — i począł zdejmować kapelusi.



31

— Jeszcze nie, — zawołał Henio — wprzód uklękniemy, — poczekaj, aż ci powiem.

Milusi wlepił w brata błękitne oczęta — rączką przytrzymał kapelusz, gotów na skinienie Henia.

— Teraz!

Uklękli, równocześnie odkrywając głowy.

Milusi zwykł był powtarzać pacierz za Wirginią i nie umiał go na pamięć, zmartwiony czekał, aż Henio skończy, nie wiedział, — czy ma mówić z nim razem, czy nie.

Po pięciu minutach Henio się zerwał i nałożył kapelusz — i Milusi podniósł się i zwierzył ze swych wątpliwości. Henio wysłuchał z uwagą.

— Nie możesz za mną powtarzać mego pacierza, — rzekł po namyśle, — jesteś za mały.

— Za mały, — powtórzył łagodnie Milusi.

— A ja naturalnie zapomniałem dziecinnego pacierza, — bo od dawna go nie mówię. Ale wiesz co, zmów modlitwę przed jedzeniem.

— Ale to przecież nie pacierz!

— Naturalnie, że pacierz. W książce do nabożeństwa jest napisane: pacierz przed posiłkiem, a pod tem ta modlitwa,

którą odmawiasz. Wiesz, posiłek to jest śniadanie, obiad, albo kolacya. Każde jedzenie, choćbyś dostał tylko mleko albo biskopiek.

— Myślałem, że posiłek to mięso, albo szynka, albo kurczęta!

— Dużo rzeczy jeszcze nie wiesz, Milusi — rzekł Henio tonem wyższości. — Nie wiedziałeś, że pacierz i modlitwa jest to samo. Powtórz za mną: Przyjdź, Panie Jezu, gościem naszym bądź, i między nami za stołem siadź.

— To twoja modlitwa, Heniu, ja mówię inną. Mówię tylko: Dziękuję Ci, Panie Boże, za twe dary.

— To wystarczy.

— Ale jak mam dziękować, kiedy jeszcze nie jadłem śniadania?

— Prawda — nie miałeś ani kawałka chleba.

Przez chwilę myślał głęboko.

— Wiem już. Powiedz po prostu Dziękuję Ci, Panie Boże, za dary przy śniadaniu. Przecież za chwilę dostaniemy i tak śniadanie.

Milusi ukląkł, złożył rączki i powtórzył słowa modlitwy. Potem braciszczowie przeżegnali się i usiedli na trawie, by porachować grzyby i zawczasu wiedzieć, ile sztuk wypadnie na każdego dziłkiego.

32

Tymczasem przewiew, idący od otwartych drzwi, obudził Wirginię.

Usiadła na łóżku i spojrzała wokoło siebie.

Nasamprzód podpadły jej dwie nocne koszulki, rzucone na ziemię i dzban wody przy łóżku. Pokój był dość ciemny z powodu zamkniętych okłennic, więc na razie nie zauważyła braku swych wychowanków.

Wstała — i wtedy dopiero zobaczyła puste łóżeczka i porzucone poduszki.

— Mój Boże! — krzyknęła.



Popatrzała za łóżka i szafy, czy dzieci tam się nie skryły. Zdumienie przeszło w obawę, gdy się przekonała o braku sukien. Pobiegła do pokoju, gdzie się

zwykle bracia bawili — potem na schody — krzycząc głośno:

— Heniu!

— Milusiu!

Nie mogła iść dalej w negliżu, — poczęła więc rozpaczliwie dzwonić, wołając Joasi i ubierając się z pośpiechem.

Pokojowa nie umiała wytłomaczyć znik-

nięcia paniczów, ale zbiegła do sieni, by ich poszukać.

Po jej odejściu oczy Wirginii padły na flanelową koszulkę Milusia i załamała z rozpaczy ręce.

Joasia tymczasem wróciła.

— Chyba wyszli z domu, — bo drzwi od dworu szeroko otwarte.

— Niemożliwe, — mówiła Wirginia, łamanym językiem — bucików jeszcze nie mają na nogach tylko cienkie pantofle.

— A jednak wyszli, — zapewniała pokojowa, — przejrzałam każdy kąć. Czy wzięli kapelusze?

Wirginia otworzyła szufladę.

— Mój Boże, — krzyknęła, widząc, że jest pusta! — Miluś dostanie kaszlu, krupu. Patrz Joasiu! Nie ma na sobie ciepłej koszulki. Dostanie zapalenia płuc.. Umrze! Drżącymi rękoma kładła kapelusz.

— Otóż oni, — zawołała Joasia od okna.

— Tam! na polu!

— Na polu! Siedzą na mokrej trawie! — mówiła przerażona Francuzka, patrząc na małe figurki, siedzące pod drzewem. — Wracajcie, wracajcie w tej chwili — wołała niepompna, że dzieci nie mogły jej z tej odległości usłyszeć. Pochwyciła szali i zbiegła ze schodów.

Dzieci spokojnie szły ku ogrodowi. Miluś trzymał brata za rękę — i postępował z trudnością. Henio, uszczęśliwiony z powodzenia swego planu nie zauważył ani zmęczenia malca — ani gniewu bony.

— Niech Pani zobaczy! — wołał z daleka, podnosząc pełny koszyk.

Na widok przemożonych pantofli i gąszczkowych wypieków Milusia, Wirginia zapomniała o wymówkach, i pochwywszy dziecko na ręce, spiesznie zawróciła ku domowi, nie zważając na Henia. W pokoju dziecinnym rozebrała malca. Załamała rękę na widok splątanych tasemek, guzików — wsuniętych w fałszywe dziurki — i haczyków, wpiętych w niewłaściwe haftki.

Miluś poziewał ze zmęczenia i kichnął raz czy dwa razy, co biedną Wirginię doprowadziło do rozpacz.

— Zaziębił się, a co? Czy nie mówiłam? — powtarzała.

— Proszę nie łąać Milusia, — zawołał Henio, którego Joasia myła, — to nie jego wina. Ja go namówiłem.

Winowajców ubrano, dano im śniadanie — ale z zakazem rozmawiania w innym języku, jak francuski.

Był to żalony koniec wesołego początku, zwłaszcza, że zmęczenie Milusia

wzrastało — trzeba go było położyć; Henio musiał za karę siedzieć w pokoju, i nie wolno mu było się ruszać, co dla żywego chłopczyka stanowiło istną katuszę.

Wirginia nie spuszczała go z oczu przez cały dzień, — po południu wyszli na nudną, milczącą przechadzkę.

Pod wieczór Miluś kaszlał na dobre, a w nocy obawiano się krupu, tak, że przestraszona Wirginia posłała po lekarza.

Henio wyrzucił sobie gorzko, że z jego przyczyny braciszek cierpi. Ale trwało to dopóki w alei nie zamajaczył gig doktora. Zbiegł ze wschodów, przeskakując w pospiechu po trzy stopnie od razu.

— Dzień dobry panu! Pan kupił nową uprząż? Jak to się świeci!

— Jak się masz, malcze, — odpowiedział, wysiadając doktor. — Co się stało z braciszkiem?

Oczki chłopca śmiały się do nowych półszorków.

— To grzyby, — rzekł, myśląc już o czym innym. — Proszę pana, czy to się zawsze będzie świeciło?

— Grzyby! — zawołał doktor. — Miluś jadł grzyby? — Popsuł sobie żołądek?

— Nie, nie, — zapewniał Henio, — wskakując na stopień, — boli go w piersiach i kaszle. — Jaką błyszczącą sierć ma konik pana.

Doktór przestępował próg.

— Zawsze to samo, — mruczał. A może naprawdę nakarmili delikatne dziecko grzybami.

Henio wybuchnął śmiechem.

— Grzyby były przecież surowe!

— I to jeszcze, — zawołał lekarz! —

Kto mu pozwolił jeść surowe grzyby!

Henio aż się zanosił.

— Ależ nie jadł ich.

Tak się cieszył nieporozumieniem, że o mało nie wpadł pod konia.

— Uważaj, dziecko, — rzekł doktór, — mój Bob łatwo się lęka. — Powiedz mi, czemu mówiłeś, że Milusia boli w piersiach z powodu grzybów?

— A, bo zapomnieliśmy o koszulce, — zaczęła Henio... — O! proszę pana, Bob rzy — muszę go pogłaskać.

Pobiegł na dziedziniec wołając:

— Może z powodu koszulki, albo pantofli, ale takeśmy się spieszyli.

Doktór poszedł do pokoju dzieci, gdzie mu bona wszystko wytłomaczyła.

Przeziębienie Milusia nie było groźne

— ale przez dni kilka nie wolno mu opuszczać pokoju.

A tymczasem Henio zawarł przyjaźń z groomem i w palącym słońcu, bez kapelusza, objeżdżał wkoło dziedzińca.



35

## Rozdział V.

Milus był mocno zmartwiony, gdy się dowiedział, że jego areszt pokojowy potrwa tak długo, i że nie będzie mógł widzieć »dzikich«.

Nadszedł piątek, — Henio nie mógł chwili usiedzieć spokojnie. Biegał od pokoju stołowego do biblioteki, zaglądał do kuchni, i dziwił się, że nie przyrządzano żadnych nadzwyczajnych potraw.

— Myślę, że u nas będą jedli jak wszyscy inni ludzie, — mówił do Milusia, wracając ze setnej wizyty w spiżarni.

— Pewnie, choć raz będą jedli jak my.

Następne kilka godzin cieszyli się na myśl, z jakim zdziwieniem dzicy wszystkimu przyglądać się będą.

Pan Edward przyjechał późno, i poszedł prosto do pokoju dzieci. Wirginia ubierała Henia, więc ojciec nie widział starszego synka, a ponieważ niektórzy panowie już przybyli, uściskał pospiesznie Milusia i udał się do siebie, by zmienić ubiór. Historya o dzikich zupełnie mu wyszła z pamięci.

Goście zebrali się w bibliotece, rozprawiano żywo o polityce, gdy nagle ktoś otworzył drzwi, i Henio stanął w progu.

Śliczne dziecko w aksamitnem ubranku, białym koronkowym kołnierzyku i błękitnej szarfie, wyglądało jak istotka z innego świata. Zebrani, po części starsi ludzie, z przyjemnością patrzyli na niego, kilka rąk wyciągnęło się ku nowoprzybyłemu. Lecz ku zdumieniu pana Edwarda, Henio, zwykle bardzo uprzejmy i serdeczny, nie zwracał uwagi na powitanie. Stał jak zakłęty, patrząc wkoło ździwiony i rozczarowany.

— Heniu, — rzekł ojciec, — czemu nie przywitasz się z panami?

— Papo, — zawołał chłopiec jasnym, dziecinnym głosem, który dzwonem rozległ się po pokoju, — gdzie są dzicy?

Teraz pan Edward zrozumiał. Błyskawicznie stanęły przed nim dowcipy szwagra. Nie wiedział jak wybrnąć z sytuacji.

— Dzicy? — powtórzył z wymuszonym uśmiechem, — co ci się marzy? Tu niema dzikich.

— Papa wie, co chcę powiedzieć, — rzekło donośnie dziecko, pytam o dzikich z lasu, o których mówił papa i wuj Karol. Mówił, że przyjadą do nas na obiad. Nazy-

wają się bardzo długo, dwa słowa czy trzy, a jedno znaczy dzicy ludzie. To bardzo długie słowo, pra — pra...

— Prawyborcy? — poddał baronet.

Na szczęście dwa długie wyrazy, zasłyszane przed tygodniem pomieszały się w główce chłopczyny.

— Może tak, ale zdawało mi się, że to inne słowo...

— I myślałeś, że prawyborcy znaczy dzicy ludzie? — pochwyił ojciec, podczas kiedy goście się śmiali. — Czemuś się mnie nie zapytał albo nie zajrzał do słownika? Choć, coprawda, — rzekł do otoczenia, — trudno wytłumaczyć znaczenie takich wyrazów siedmioletniemu dziecku.

— Rzeczywiście, że trudno.

— Ale jak wykombinował, że to znaczy dzicy ludzie? — zapytał ktoś?

— Dzieci z natury lubią rzeczy nadzwyczajne, — rzekł pan Edward, — nieznane zawsze im się przedstawia w cudownej szacie.

Sam nie wiedział, co mówi, chciał prosto byle jakim wytłumaczeniem zatrzeć dziwną scenę. Ale Henio rozproszył wszelkie nadzieje ojca co do załatwienia sprawy. W twarzy syna czytał chęć dalszych pytań, trzeba go było koniecznie usunąć. Ski-

nieniem ręki przyzwał go do siebie, i po cichu poradził, aby wrócił do Milusia.

Do obiadu brakło pięć minut, niebezpieczeństwo trwa, dopóki Henio jest w pokoju.

Chłopczyk chciał zatrzeć wrażenie, wywołane bezceremonialnem wejściem. Postanowił więc grzecznie się pożegnać z gośćmi. Podszedł do najbliższego stojącego pana i podając mu rączkę, życzył uprzejmie dobrej nocy. Z kolei chodził od jednego do drugiego.

— Ciekaw jestem, czy każdemu potrząśnie rękę, — myślał pan Edward, prawie z rozpaczą, przebiegając oczyma swych dwudziestu gości.

Henio cierpliwie wypełniał swe zadanie, nie pominął nikogo, nie opuścił żadnego z panów.

Nic nie szkodziło, że jeden przeglądał ryciny, inny studyował portrety na ścianie, inny zawiązał ze sąsiadem polityczną dysputę. Henio nie pominął nikogo. Każdy usłyszał »dobranoc«, ku każdemu wysunęła się dziecinna, brązowa łapka.

Nieskończone chwile!

Każde podanie ręki mogło przynieść niespodziany skutek, każde słowo mówione do ślicznego dziecka groziło nową eksploikacją.



Wskazówki zegara stały prawie, baronet czekał na głos gonga, a tymczasem drobna figurka chodziła od gościa do gościa.

— Więc myślałeś, że zobaczysz bandę dzikich?

— A tak. — Wuj Karol tak opowiadał.

Pan Edward przestępował z nogi na nogę.

— Jeszcze tylko trzynastu, — zauważył nie bez ulgi.

— Co za rozczarowanie, — rzekł wesoło jakiś pan.

— Naturalnie. — Nic ciekawego patrzeć na panów w czarnych frakach.

— Jeszcze dwunastu, — myślał baronet.

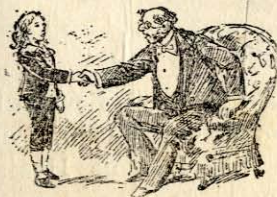
— Wuj żartował z was, — pocieszał jakiś pater familias, a Pan Edward kurczowo miał palce.

— Głupi żart, — zaopiniował Henio, — a ojciec przyznał mu w duchu rację.

Nareszcie się skończyło.

Zadzwonił gong, — przebrzmiało ostannie »dobranoc« z prawdziwą ulgą widział pan Edward, jak dziecko zniknęło za drzwiami. Lecz przez cały wieczór był nieswój. Goście trzęśli głowami i szepotali na stronie, że dotychczas nie mógł się pocieszyć po stracie żony.

Duncomb był rad, gdy goście opuścili jego dom. Zanim się udał na spoczynek, poszedł do pokoju dzieci.



Milusi spał spokojnie, ale od strony drugiego łóżeczka doszedł go odgłos tłumionych łkań.

— Heniu, drogie dziecko, co ci się stało?

Po dłuższej namowie, dowiedział się o przyczynie zmartwienia. — Otóż wujek skłamał, i pewnie za to pójdzie do piekła.

38

## Rozdział VI.

Gdy pan Edward nazajutrz schodził do stołowego pokoju, czyhała nań na schodach Wirginia. Skarżyła na Henia, który wiecznie Milusia do złego namawia. Baronet nie cierpiał takich przejsć. Zwykle krótko przebywał ze swemi dziećmi, — cieszył się widokiem ich rozjaśnionych twarzyczek i nie lubił łajać i upominać.

Wchodząc do jadalni, zobaczył Henia wychylonego przez okno. Obawiał się zawołać nań po imieniu, aby chłopczyk nie stracił równowagi i nie wypadł. Ale synek posłyszał kroki ojca i poskoczył ku niemu.

— Czemuś nie przyszedł do mego pokoju, — spytał ojciec, całując synka.

— Wirginia nie pozwoliła mi za karę.

Baronet skorzystał ze sposobności.

— Za karę? — powtórzył. — Bardzo mi smutno, że zasługujesz na kary. — A co zrobiłeś?

Henio spojrzał na sufit, potem na dywan.

— Papo, nie pamiętam!

Pan Edward z trudem powstrzymywał uśmiech.

Trudno łajać dziecko, które nie pamięta, za co skazano je na karę.

Henio tymczasem rozmyślał głęboko.

— Niech papa poczeka, — może sobie przypomnę.

Przebiegał myślą wszystkie swe wybryki ostatnich dni; — ojciec widząc, że zanosi się na długie rozmyślanie, zasiadł do śniadania.

— I cóż, — spytał po pewnym czasie, — wiesz już, o co chodzi?

— Nie, papo, ale Wirginia z pewnością pamięta, — mam iść do niej?

Ojciec nie wiedział, jaką zrobić minę. Widać nic nie może zrobić trwałego wrażenia na dziecku.

— Nie, nie chódź, — usiądź przy mnie, porozmawiajmy trochę.

Odkręcił kurek samowara i z poważną twarzą zwrócił się do chłopca.

— Wirginia mówiła mi dziś rano...

Tu przestał mówić, bo zauważył, że oczy dziecka śledziły sphywającą wodę.

— Słuchasz mnie?

39

— Niech papa uważa, — krzyknął Henio, zeskakując z krzesła i klaszcząc w dłonie! Niech papa zakręci kurek. — Prędko A co? Nie mówiłem?



Nie było rady. Pan Edward przerwał ledwo zaczęłą admonicyę i wraz ze synkiem śmiał się z potopu, spływającego na obrus.

— Dobrze się stało, — mówił tryumfująco Henio, — za to, że Papa nie pozwolił mi odkręcić kurka. Zawsze robimy to z Milusiem po kolei. Szkoda, że Miluś nie widział.

I wesoły śmiech uszczęśliwionego malca brzmiał w całym pokoju.

Wspomnienie Milusia przypomniało panu Edwardowi ojcowskie obowiązki. Łagodnie, ale stanowczo przedstawił Heniowi skutki lekkomyślności, — groził nawet, że nie pozwoli na przechadzki poza obręb ogrodu — jeżeli usłyszy je-

szcze raz skargi Wirginii. Podczas długiej przemowy Henio siedział skruszony i obiecał uroczyście poprawę — potem zabrał się do bułki z miodem.

Ojciec przeglądał gazety. Był prawie dumny ze skutku swych słów — i z zadowoleniem widział, jak Henio je ulubiony przysmak w głębokiem zamyśleniu.

Chłopcy powinni być pod męską opieką, Henryk za duży, by słuchał bony, — trzeba pomyśleć o nauczycielu.

— Papo, — zawołał Henio.

— Co, dziecko? spytał baronet, i w nadziei dalszych obietnic złożył gazetę.

— Gdyby papa żył w czasie wojny Dwóch Róż<sup>1)</sup>, — po czyjej walczyłyby strony?

Pan Edward spadł z chmur!

Najprzód przykro mu było, że pomimo starań, słowa jego nie wywarły pożądanego skutku; a powtórnie nie pamiętał tak dokładnie faktów historycznych, aby móżdż bez zastanowienia wydać sąd. Chcąc zyskać na czasie, zapytał:

<sup>1)</sup> Wojnę Dwóch Róż prowadziły stronnictwa: Lancaster, mający w herbie czerwoną różę, i York, mający w herbie białą różę. (1455—1485). Zakonczyła się wstąpieniem na tron Henryka VII Tudor.

40

— Uczyleś się wiele o wojnie Dwóch Róż?

— O tak, — rzekł wzdychając Henio. Wirginia bardzo je lubi. — Czy to prawda, że nigdy nie zostanę posłem, jeżeli nie będę umiał wszystkich bitew z tej epoki?

— Czy Wirginia tak mówi?

— Tak. Mówi, że wszyscy członkowie parlamentu umieją wszystkie bitwy na wrywkę i po kolei, i że wiedzą, kto kiedy wygrał, a kto przegrał, i imiona i nazwiska wodzów.

Baronet dziękował niebu, że fotel jego w parlamencie nie stał na tak niepewnych nogach i szczerze pragnął końca rozmowy.

Próżna nadzieja!

— Naturalnie papa zna wszystkie?

— Szkoda siedzieć w domu w pogodę, — przerwał dalsze pytania, — weź kapelusz i pobiegaj po ogrodzie.

York i Lancaster zniknęli niby pod dotknięciem czarodziejskiej różdżki. — Henio w okamgnieniu był na dworze.

Ledwo wyszedł, pan Edward wziął z biblioteki tom historii Anglii, i czytał w nim pilnie przez całe rano.

Po drugim śniadaniu zaproponował synowi konną przejażdżkę.

Milusi patrzył z okna na wierzchowca. — Było mu strasznie smutno samemu, —

ale Henio pocieszył go jakąś na ucho opowiedzianą tajemnicą.

O trzeciej ojciec i syn wyjechali.

— Papo, — jedźmy przez miasteczko mam sprawunki.

— A co chcesz kupić?

— To wielki sekret, — właściwie nie powinienem nikomu mówić. — A papa umie utrzymać sekret?

— Chyba umiem.

— Więc powiem papie. Chcę kupić podarek na papy imienniny. — Coby sobie papa życzył? Ale proszę o tem nie mówić nikomu.

— Nie powiem nikomu. Lepiej będzie jeżeli sam wybierzesz. Będę się cieszył z każdego podarku.

— Może i nie. Ja naprzykład lubię strzelające grochy i kręgle. Papie nie przydałyby się na nic, prawda?

Pan Edward przyznał, że jest za stary na wymienione gry.

— I ja tak myślę, — zapewnił Henio, uradowany własną przenikliwością, — i to właśnie sprawia mi trudności. Papa ma zegarek i termometr i przycisk do papierów — i wszystko, czego potrzebują dorośli ludzie. Nie wiadomo, co papie kupić.

— Mój drogi, wszystkie wymienione przedmioty są drogie. Ile masz pieniędzy?

— Widzi papa, w tem właśnie sęk, nic nie mam. Myślałem, że mi papa chętnie da, bo to na podarek dla papy.

Ojciec śmiał się wesoło.

— Kosztowny sposób otrzymywania podarków!

— Nie, nie chcemy kosztownych, odpowiedział praktyczny malec, — ale naturalnie, nie wiem jeszcze, co kupię. Oto sklepik, zatrzymajmy się, proszę.

Ściągnęli cugle przed jednym z małych sklepików, jakich pełno w każdej mieścinie. Henio zeskoczył z kuca.

— Papo, niech papa nie zagląda drzwiami, boby papa widział, co wybieram.

Ojciec przyrzekł, poczem chłopczyk pobiegł do sklepu.

— Chciałbym kupić podarek dla dorosłego pana, — rzekł do sprzedającej.

Kobieta pokazywała wszystko, co uważała za odpowiednie, lecz nic nie zadowalało malca. Nieustannie przebiegał sklep oczyma.

— Niema pani czegoś, coby można nosić w kieszeni?

Kobieta podeszła ku oknu.

— Proszę uważać, krzyknął Henio, — proszę, dodał ciszej, bo sprzedająca, przestraszona stała, trzymając w jednej ręce

kompas, w drugiej zieloną sakiewkę. — Papa stoi przed domem, zobaczy, co pani wyjmuje, i zgadnie, że to podarunek na jego imieniny. — Sprzedająca przeprosiła, ale było za późno, Henio nie chciał kompasu ani sakiewki.

— Napewno widział, pani wszystko popsuka. — Oparł się zamyślony o stół i patrzył na ciągle rosnący stos towarów, które cierpliwa kobieta zносиła z wszystkich kątów sklepu.

— Czy pani ma męża? — spytał niespodzianie. Ku przerażeniu dziecka, sprzedająca podniosła fartuch do oczu i poczęła płakać.

— Jak mi przykro, — zapewniał, — nie chciałem pani zmartwić, — teraz widzę, że pani nosi czepek<sup>1)</sup>, więc naturalnie jest pani wdową. Bardzo mi przykro, że pani mąż umarł, bo z pewnością powiedziałby nam, co sprawia przyjemność dorosłym panom.

Potem, uderzony myślą, że może słowa jego ranią wdowę, dodał szybko:

— Naturalnie, przykro mi dlatego, że pani jest teraz bardzo nieszczęśliwa. A może

<sup>1)</sup> W Anglii wdowy noszą oprócz zwykłej żałoby biały czepek z długim woalem.

pani pamięta, jakie dary dostawał mąż pani na imieniny?

Wdowa pomyślała chwilę, widać wspomnienie męża nasuwało jej wspomnienia dymu i palenia — więc wymieniła pudełko do cygar.

Projekt zachwyił chłopca.

— Ale to pudełko nie jest przypadkiem w wystawowym oknie?

Niestety! okazało się, że tak było w istocie.

— Co teraz zrobimy! — Henio zalał rękę.

— Już wiem! — zawołał i wybiegł ze sklepu.

— Papo! proszę, niech papa odwróci głowę — musimy coś wyjąć z wystawowego okna!

Pan Edward zatopił się w widoku sąsiedniej oberży, ku wielkiemu niezadowoleniu jednego ze swych włóдарzy, który opuszczał lokal w lekko podchmielonym stanie — i chciał się niepostrzeżony przeslizgnąć koło pana.

Henio był zachwycony pudełkami. Wszystkie były wylepione czerwonym aksamitem, na niektórych wyhaftowane złotem napisy i kwiaty. Najmniejsze szczególnie ściągnęło jego uwagę.

— Czy nie lepiej byłoby wybrać większe? — poddała wdowa. — Tu zmieści się mało cygar.

— Nic nie szkodzi, — zapewnił Henio. — Papa wogóle nie pali. Chodzi o to, by było ładne i weszło do kieszeni. Proszę je zawinąć w kilka papierów, aby nie można było poznać, com kupił.

Kobieta zapakowała pudełeczko w watę i kilka arkuszy grubego papieru. Sporą paczkę owiązała sznurkiem i Henio nadzwyczaj zadowolony ze swego sprawunku, opuścił sklepik.

— Spodziewam się, że papa nic nie widział, — rzekł, wskakując zgrabnie na kuca.

— Nic zgola — odpowiedział ojciec. — Ile się należy? — zapytał sprzedającej.

— Pięć i pół marki.

Obdarowanemu nie pozostało nic innego, jak zapłacić.

— Prawda, że to tanio? spytał Henio, — tyle złotego haftu, — mój Boże, papo, czy papa nie zgadł?

— Skąd znowu. Nawet jestem bardzo zaciekawiony, bo nie mam pojęcia, co to za dziwny przedmiot, haftowany złotem, ukrywał się w małym sklepiku.

Henio nie posiadał się z radości.

— Papa się niczego nie domyśla?

— Nie, synku.

— Więc wiem coś, czego papa nie wie. Papa nieraz mówi o rzeczach, o których nic nie wiem, a teraz jest odwrotnie.

— Tak się zdarzyło, — odpowiedział baronet ku wielkiej uciesze syna.

Chłopczyk kilka razy otwierał buzię, by coś powiedzieć, i zamykał ją pod wpływem nowej myśli.

— Zachowanie tajemnicy jest straszną rzeczą, — rzekł wkońcu.

— Czemu? — spytał z uśmiechem ojciec.

— Bo ją trudno utrzymać. — Już dwa razy chciałem zacząć mówić, bom zapomniał, że papa nie wie.

— Włęcz mówmy o czym innym.

Znowu pauza, potem Henio powiedział:

— Papo, może wrócilibyśmy do domu?

— Już do domu? Jesteś zmęczony?

— Nie, nie dlatego, ale czuję, że nie wytrzymam dłużej i powiem papie wszystko. Chciałbym komuś zawierzyć mą tajemnicę i dlatego wolę wrócić do domu, do Milusia.

— Ale mam interes do generała Colville — i muszę zobaczyć, co się dzieje z starym Dysonem. Czy możesz jeszcze trochę poczekać?

Henio bardzo lubił towarzystwo, włęcz z miłą chęcią przyjął propozycję.

— Dyson jest głuchy nieprawda? Czy się urodził już głuchym?

— Nie, ogłuchł z wiekiem.

— Dobrze, że ja się nie urodziłem głuchy. To byłoby straszne! Czemu Dyson nie kupi sobie trąbki do słuchania.

— Bo nie ma na to dość pieniędzy.

— Bardzobym się cieszył, gdybym mu mógł podarować trąbkę.

— A masz na to pieniądze?

— Znowu to samo — nigdy nic nie mam.

— Niedawno dostałeś markę.

— Kupiłem kapiszonów i cukierków.

— Widzisz, nie można mieć równocześnie pieniędzy i sprawunków. Gdybyś nie kupował niepotrzebnych rzeczy, mógłbyś mieć dużo innych, pożyteczniejszych.

— Tak też zrobię. Od dziś zacznę oszczędzać — i odłożę do skarbonki pierwszą markę, jaką od papy dostanę. Odłożę tyle, aż kupię trąbkę Dysonowi.

— Doskonały plan.

— Papo, a kiedy mi papa da markę?

— Nie wiem, doprawdy.

— Nie byłoby lepiej zaraz zacząć? bo trąbka dużo kosztuje, a stary Dyson czeka.

Pan Edward dał dziecku monetę.

— Pamiętaj nie wydawać na błahostki. Stary Dyson siedział w ogródku przed domem. Miał słuch bardzo osłabiony, i choć słyszał silny głos pana Edwarda, to wszelkie wysiłki Henia nie odnosiły żadnego skutku.

— Jakby się cieszył, — mówił Henio, gdyby wiedział, że składam pieniądze, by mu kupić trąbkę do słuchania.

I z tryumfującą minką pokazał staruszkowi markę, by sam widok monety mógł zastąpić opowiedzenie całego przedsięwzięcia.

Dyson pokiwał głową.

— Na zakupno cukierków, nieprawda? — zapytał.

Henio potrząsnął główką i z całej siły wrzasnął:

— Nie!

— Panicz kupi fuzyę, co?

Nie można mu było wytłumaczyć — a że ojciec podciął konia, więc i Henio rad nie rad podążył za ojcem.

— Wie papa, staremu Dysonowi nie możnaby powierzyć żadnej tajemnicy.

— Czemu?

— Bo trzebaby tak głośno krzyżeć, że wszyscyby usłyszeli. A jak całe miasteczko wie, sekret przestaje być sekretem. Gdybym powiedział: Dysonie, ojcu na imieniny

kupiłem pud... O Boże, — zawołał, ściągając cugle, — czy papa już wie?

Ojciec zapewnił, że ani się domyśla.

— Ot dom jenerała, zabaw się dobrze.

W chwilę potem wchodzili do pokoju, w którym siedziały dwie panie i kilkoro dzieci.

Pani Colville opowiedziała baronetowi, że mąż jej nie opuszcza pokoju z powodu złośliwego ataku podagry, poczem oboje poszli do chorego.

Henio został z drugą panią.

— Jak się nazywasz, mały?

— Jestem Henryk Duncombe, — rzekł, siadając obok niej, — a kto pani?

— Jestem siostrą jenerałowej, — nie pamiętasz mnie, ale widziałam cię u twej babuni, w Banleigh. — Mieszkam w sąsiedztwie.

— Czy pani umie dochować sekretu? — spytał poważnie.

— Umiem — ale czemu? Chcesz mi powierzyć jaką ważną tajemnicę?

— Bardzo ważną. Nigdy dotychczas nie miałem tajemnic, — strasznie trudno jej dotrzymać. Muszę komuś powie-dzieć, inaczej powiedziałbym chyba papie.

— Czemu nie chcesz powiedzieć papie?



— Papie! Ależ siostró jenerałowej! Właśnie papa nie powinien wiedzieć.

Piękna panna nieco się przestraszyła, sądząc, że chodzi o jakiś dziecinny wybryk, — lecz otwarta twarzyczka dziecka uspokoiła jej obawy, i z uwagą wysłuchiwała opowiadania.

A trzeba było nielada skupienia, by wszystko zrozumieć — bo chcąc jak najprędzej dojść do celu, Henio opuszczał konieczne objaśnienia, powtarzał i mieszał fakta, przytem, by go dzieci nie słyszały, szeptał jej do ucha.

Właśnie skończył, a ona zapewniała, że nigdy nikomu nie powtórzy, gdy pani Colville wróciła do pokoju.

— Nawet jej nie trzeba mówić, — prosił chłopczyk. I w poczuciu ulgi znowu usiadł na fotelu.

Pani jenerałowa była jedną z tych matek, które zawsze przypuszczają, że inne dzieci lepiej są ubrane od jej własnych. Naśladowała bez ceremonii wzory i pożyczowała kroje.

Wirginia nie mogła jej znieść. Kiedyś męczyła się kilka tygodni nad wyhaftowaniem kołnierzyka dla Milusia i poprostu trzęsła się na wspomnienie, że pan Edward, Bogu ducha winny, pozwolił skopiować wzór.

Rodzina Colvillów uczęszczała do tego samego kościoła, co Duncombowie, widok innych chłopców, ubranych jak jej mali wychowawcy, doprowadzało Francuzkę do pasyl.

Pani generalowa zaśleplona jak wszystkie matki, nie wiedziała, że co było ładne dla ślicznych małych Duncombów, zupełnie nie odpowiadało jej niehojnie od natury obdarzonym malcom.

Mężczyźni nie mają oczu dla takich błahostek. Pan Edward nic nie zauważył, ale Wirginia nie mało się trapiła.

— Co za śliczne ubranko, mówiła pani Colville, patrząc na Henia.

— Bardzo ładne, — dodała siostra, — i doskonale leży.

— Chodź tu, — zawołała pani Colville na synka — patrz, Maryniu, jaka różnica w wykonaniu. Czy wasza Francuzka wam wszystko szyje?

— Mnie nie, tylko Milusiowi. Mnie kupują u krawca w Londynie, — dodał z dumą.

— Nie pamiętasz nazwiska?

— Owszem. Swears and Wells. Byłem tam z papą. Śliczny magazyn. Niech pani go kiedy zwiedzi.

— Pamiętasz adres?

Henio nie pamiętał.

— Ależ, — zawołał nagle, — czytałem go tutaj. Nie wiem gdzie. Napewno w tym pokoju.

— Niemożliwe, mój drogi, — odparła ze śmiechem p. Colville.

— Z pewnością — powtórzył chłopiec. — Widziałem nazwę ulicy i numer, — gdzieś tu w pokoju.

— Zdawało ci się.

— Nie, jestem zupełnie pewny. Gdzieby to mogło być? Na biurku. — O! tu są karty wizytowe. Może było na karcie.

— Swears i Wells nie bywają u mnie.

Henio postanowił zbadać kwestyę. Pomimo śmiechu pań, powstał — podszedł ku drzwiom i powtórzył scenę wejścia, — by zobaczyć, kędy przechodził.

Przytem głośno robił uwagi.

— Tędy wszedłem, tu koło stołu — nie, nie w książce, ani w koszyczku, — potem koło etażerki z kwiatami, potem zatrzymałem się przy fortepianie, a papa rozmawiał z panią Colville. Nie — nie na fortepianie, ani w nutach. Potem przywitałem się z panią Colville i usiadłem na kanapie przy jej siostrze i położyłem na kolanach kapelusz. — O! — zawołał nagle, ku przestraszowi pań, — tu jest — w moim kapeluszu! Tu widziałem, aha! Swears i Wells 182 Regent Street. Cie-

szy się pani? Teraz pani znajdzie sklep. Niech pani zapisze adres.

Rozradowany nie zauważył, jakie daje przedstawienie.

Coby powiedziała Wirginia, widząc generałową odpisującą sumiennie nazwisko i adres.

Właśnie skończyła, gdy wszedł pan Edward.

— Generał bardzo cierpi, — rzekł do p. Colville.

— Niestety nic na siebie nie uważa.

— Pamięta pan moją siostrę?

Pan Edward uśmiechnął się.

— To pani jest małą Marynią Wilbatone? Pani tak urosła, że nigdybym jej nie poznał. Nie widziałem pani od dawna — coś od trzech czy czterech lat?

Panna Marynia nie określiła bliżej daty, choć pamiętała ją doskonale — gdyż wtedy po raz ostatni pani Duncombe odwiedziła jej rodziców, a panienska nie chciała odnawiać bolesnych wspomnień.

— Kiedy pani opuściła Banleigh?

— Przed tygodniem.

— Co tam u was słychać?

— Matkę pana i siostrę widziałam niedawno. Są obie zdrowe.

Mówiąc o siostrze baroneta, uśmiechnęła się lekko.

— Kochane Cesisko, — zaśmiał się pan Edward.

Panna Duncombe była osobą mało inteligentną i niesłuchanie młodą na swój wiek, — to też znajomi patrzyli na nią z nieco humorystycznej strony.

Henio słuchał z natężoną uwagą, co ojciec i Marynia mówili o ciotce. Gdy wreszcie opuścili dom Colvillów, chłopczyk rzekł z ulgą:

— Teraz mi już zupełnie dobrze.

— Czułeś się niezdrów? — spytał zaniepokojony ojciec.

— Nie, — tylko mówię o mym sekrecie. Powiedziałem wszystko tej pannie, papa wie, — siostrze generałowej.

— Nie wierzę, że dotrzymasz twego sekretu przez dziesięć dni. Wiesz, że moje imienniny są dopiero w przyszły poniedziałek.

— O Boże, — o Boże! Myślałem, że są wiele prędej. Mówmy o czym innym.

— O czym mamy mówić? Dziś wieczorem przyjedzie dwóch panów z Londynu i spędzą z nami niedzielę. — Wrócę z tobą do domu, a potem pojedę na ich spotkanie, na stacyę.

— Czy ci panowie są mili?

— Bardzo mili, — ale gusta bywają rozmaite. Może się tobie nie będą podobali.

— Starzy, czy młodzi?

— Jeden jest znacznie starszy ode mnie.

— To już siwy?

— Niezupełnie jeszcze, — a drugi jest we wieku wuja Karola.

— A umie również ładne powlastki o niedźwiedziach i kanguarach?

— Nie wiem. Drugi wam chyba co opowie, bo ma w domu małych synków.

— Miluś i ja widzieliśmy, że nad stawem stoi drzewo — jedna gałąź spuszcza się nad wodą, zupełnie jak w powlastce wuja Karola. Wdrapemy się kiedy na drzewo i poczołgamy się na gałęzi — zobaczymy, czy woda odbije nasze twarze. — Pamięta papa, wuj Karol mówił, że dzięki człowiek przeglądał się we wodzie.

— Nie, Heniu, — rzekł ojciec. — Nie pozwolę na to. — Gałąź jest zupełnie spróchniała, i może lada chwilę się złamać.

Henio spojrzał zmartwiony.

— Papa wie napewno?

— Napewno, i zakazuję wam chodzić nad staw. Rozumiesz mnie?

— Tak, — rzekł chłopczyk z westchnieniem, — nie wdrapiemy się na drzewo, — ale papa pozwoli nam iść i popatrzyć z daleka? Już kilka razy chcieliśmy iść, i zawsze coś przeszkodziło.

— Jeżeli przyrzekniemy, że nie wejdziemy na drzewo, — to nam wolno iść, — co, papo?

— Raz na zawsze zakazuję chodzić nad staw i mam nadzieję, że usłuchasz. Obiecaj, że nie pójdiesz.

— Szkoda!

— Obiecaj, że posłuchasz. Nie chcę, by się Milusowi z twej winy co złego zrobiło.

Henio obiecał po pewnem wahaniu. Ale w duszy myślał:

— Czemu papa każe mi obiecywać. — Przecież ja i tak zapomnę.

Chwilę jechali w milczeniu.

Gdy Henio zaczął mówić, już myśli jego daleko odbiegły od stawu i drzewa.

— Do dziś dnia nie wiedziałem, że papa nie lubi cioci Cesi.

— Jakto?

— Papa mówił o niej ze słostrą generałowej jakby jej nie lubił.

— Co mówiłem? — spytał pan Edward, przebiegając w myśli treść rozmowy z panną Marynią.

— Papa się z niej wyśmiewał.

— Moje dziecko, można powiedzieć o kimś dowcip, a jednak bardzo go kochać, — ja bardzo kocham ciocię Cesię, — i nie może być inaczej, bo to moja siostra, — i do tego jedyna. — Czy myślisz, że nie kocham ciebie i Milusia, choć się z was śmieję?

Argument był kula wy. Pan Edward nie był zadowolony. Czuł, że właściwie to, co powiedział, nie ma sensu — i bał się dalszych pytań.

Ale dzieci łatwo zaspokoić — i Henio przyjął tłumaczenie bez uwag.

Niebezpieczeństwo było tym razem zażegnane, — jednak pan Edward obiecał sobie w duchu, bardzo ostrożnie wyrażać się w obecności dzieci, aby uniknąć podobnych następstw.

Gdy wrócił do domu posłał służącego do Wirginii z zleceniem, aby chłopcy dziś nie schodzili do biblioteki. Niech ich przyśle do jego ubieralni przed obiadem.

Potem wyjął z kieszeni kosztowny podarek na swe własne imieniny i wręczył go synowi.





Chłopczyk po-  
biegł do braciszka,  
tymczasem baro-  
net udał się na  
spotkanie swych  
londyńskich go-  
ści.

---

## Rozdział VII.

Nazajutrz była niedziela.

Deszcz lał od rana — dzieci nie mo-  
gły biegać po parku. Miały zato inną  
przyjemność: uczestniczyły przy śniadaniu  
ojca i gości.

Henio opowiadał szczegółowo histo-  
ryę o obiedzie tubylców i pięknym upomin-  
ku dla ojca.

Po śniadaniu pan Edward przeszedł  
z młodszym gościem do biblioteki, starszy  
został z chłopcami.

Niespodzianie weszła Wirginia. 50

— Henryku! — Milusiu!

Milus poskoczył ku drzwiom, — He-  
nio ani drgnął.

— Czekam na ciebie, Henryku.

— Nie przyjdę, — odpowiedział He-  
nio. — Zostanę tutaj, by bawić pana.

— Zaraz wrócę, — rzekła Wirginia,  
odchodząc z Milusien.

— To wasza francuska bona? — spy-  
tał pułkownik Stuart.

— Tak, Wirginia jest Francuzką.

— A czemu mówisz do niej po angielsku?  
— Nigdy w niedzielę nie mówię po francusku. To byłoby niewłaściwe.

— Czemu?

— Bo nie wolno się uczyć w niedzielę, a francuskie jest rodzajem lekcji, — więc nie wolno mówić po francusku.

Milus wbiegł do pokoju.

— Heniu! — wołał od progu. — Wirginia mówi, że musisz koniecznie przyjść, bo czas na pacierz.

— Co to znaczy? — spytał pułkownik.

— Będziemy zaraz wspólnie odmawiali modlitwy, — odrzekł Henio. — Milus jest za mały, nie zostaje z nami. — Dziś dla deszczu nie pójdziemy do kościoła, więc papa będzie głośno odczytywał modlitwy.



— Trzeba się spieszyć, — Humpty-Dumpty<sup>1)</sup>, czy jak ci na imię.

<sup>1)</sup> Dziecinna zagadka: Humpty-Dumpty — spada i zbija się. Rozwiązanie: jajo.

Chłopcy śmiali się serdecznie.

— Humpty-Dumpty na mur siadł.

— I spadł, — dodał pułkownik do Henia, który wdrapał się na wysoką poręcz krzesła. — Uważaj, by i ciebie nie spotkał los podobny.

— Nic mi się złego nie stanie!

— Chodźmy, Milusiu.

Henio zeskoczył i chłopcy pobiegli, trzymając się za ręce i śpiewając wesoło:

»Humpty-Dumpty na mur siadł,

Humpty-Dumpty z muru spadł.«

Wesołe głosy ginęły w dalszych pokojach.

W pięć minut potem uderzenie dzwonn zgrupowało domowników w bibliotece.

Henio usiadł przy ojcu, — opodał zajął miejsce Mr. Wemyss. Wszystko było gotowe, tylko brakło pułkownika Stuarta. Przy każdym szeleście Henio podnosił nie spokojnie głowę.

Po chwili czekania pan Edward pomyślał, że gość nie ma ochoty przyjść, — otworzył modlitewnik i skinął na służącego, by zamknął drzwi. Wilhelm wstał, by wykonać rozkaz a bystre oczki panicza śledziły każdy ruch przyjaciela. Wtem twarz malca ściągnęła się kurczowo wstrzymanym śmiechem, całą siłą walczyła z ogarniającą go wesołością.

Nikt inny nie widział, co się zdarzyło, ojciec począł czytać, — tylko Henio dokładał starań, by nie spojrzeć w ten koniec sali, gdzie stały krzesła dla służby, — i pilnie patrzył w książkę, by mu oczy przypadkiem nie pobiegły w niebezpiecznym kierunku. — Co się tam działo?

W chwili, kiedy Wilhelm miał zamknąć drzwi, — oczekiwany pułkownik wsunął się cicho do biblioteki, i usiadł na najbliższem pustem krześle, — gdzie pozostał do końca nabożeństwa.

Było to krzesło Wilhelma.

Henia rozśmieszał sam fakt, że gość siedział między służbą, — a gdy jeszcze zobaczył zakłopotaną minę Wilhelma, któremu zajęto niespodziewanie miejsce, — wesołość ogarnęła go tak wielka, że musiał wezwać na pomoc myśl, iż nie wolno się śmiać podczas nabożeństwa, i że mama napewno zachowałaby powagę.

Słota nie ustawała, — po południu pan Edward w braku innej rozrywki pokazywał przyjaciółom cały dom. Miał kilka dobrych obrazów, — sufit w jednym z pokoi pierwszego piętra był bardzo ładnie malowany, — pozatem dwór nie zawierał nic ciekawego.

Dzieci umilały czas, — goniły się po korytarzach, — pokoje dzwoniły ich we-

sołymi głosikami. Naturalnie zaproszono panów i do pokoju dzieci.

— To moje łóżko — pokazywał Henio.

— A to moje łóżeczko — oznajmiał Miluś.

— A to co? — spytał pułkownik — podnosząc haftowane pudełko do cygar które leżało na stole.

Odpowiedział mu okrzyk.

Pułkownik o mało nie upuścił pudełka z przerażenia, — pan Edward odwrócił się szybko ku drzwiom. — Henio pochwycił niebezpieczny przedmiot i wybiegł z pokoju.

— Co się stało? — spytał ojciec.

— To prezent na imieniny ojca, — szepnął Miluś, blizki płaczu.

Pan Edward poszedł za synkiem i zapewniał, że nic, ale to nic, nie widział. — Pogorszyło to poniekąd sytuację, — chłopczyk ukrywał swój dar pod odświętnym kapeluszem Wirginii i niemało się przestraszył, widząc wchodzącego ojca. — Ale baronet potrafił przekonać dziecko, i zabrał je do dzieciennego pokoju.

— O mały włos byłby papa zobaczył — zauważył Henio.

Biedny pułkownik bał się teraz czegośkolwiek dotknąć. — Srebrny pieniądz, ukryty

w szklance do płukania zębów, zwrócił jego uwagę.

— To moje pieniądze, objaśnił Henio.

— Zbieram, by kupić staremu Dysonowi trąbkę do słuchania. — Tu je schowałem, bo to pewne miejsce i wiem, że nie zgubię.

— Ile kosztuje taka trąbka?

— Myślę, że około 17 marek.

— A ile zebrałeś?

— Na razie tylko to, — rzekł chłopczyk, wskazując samotną markę, — ale dopiero wczoraj zacząłem.

Pułkownik Stuart wypytywał o starego Dysona, — wreszcie wydobył z kieszeni 10 marek i rzucił do szklanki.

— To mój dodatek.

Nieoczekiwana hojność pozbawiła chłopca mowy, lecz radość i zachwyt na ładnej twarzyczce wymowniejsze były od najserdeczniejszych podziękowań. — Pobiegł do ojca, by pochwalić się skarbem, i wrócił zdyszany.

— Niech pan sobie wystawi, — mówił do pułkownika, — ten drugi pan dał mi sześć marek, mogę teraz bezzwłocznie kupić trąbkę, a myślałem, że zbieranie potrwa całe miesiące!

Podano chłopcom herbatę. Ponieważ dnia tego nie mieli zejść do jadalni, więc pożegnali gości. — Przedtem jednak He-

nio uprosił pułkownika, by nazajutrz, jak tylko stanie w Londynie, poszedł natychmiast do sklepu i kazał bez zwłoki wysłać trąbkę dla Dysona.

Pan Edward jeszcze się nie był ubrał, gdy synowie wpadli do sypialni.

— Papo, — wołał Henio już odedrzwi, — to podarek dla papy!

I podał mu pudełko do cygar.

— To nasz wielki sekret, — upominek dla papy. — Nie możemy utrzymać tajemnicy!

— Czy papa się dziwi? — pytał serdecznie Miluś?

— Czy to prawdziwa niespodzianka? — dowiadywał się Henio.

Pan Edward mógł zapewnić ze spokojnem sumieniem, że nigdy w życiu nie doznał większej niespodzianki. — Rzeczywiście pudełko do cygar było zupełnie nieoczekiwanym darem dla człowieka, który nie palił!

Tem lepiej grał komedię zadowolenia — i dzieci odeszły z radosnem uczuciem, że zrobiły ukochanemu ojcu wielką przyjemność.



50



## Rozdział VIII.

— Do widzenia, Heniu! Dziś o piątę będziesz miał trąbkę!

Temi słowy pożegnał pułkownik Stuart uśmiechniętego malca.



Henio powiewał kapeluszem, dopóki powóz nie zniknął na zakręcie, — potem pobiegł prosić ojca, by mu pozwolił jechać na pocztę i dziś jeszcze odebrać przesyłkę.

Pan Edward pozwolił, by wraz z Milusiem pojechali na stację pod opieką stangreta, — który następnie miał ich odwieźć do starego Dysona. — Tu miała ich oczekiwać Wirginia.

Plan zachwycił dzieci. O kwadrans na piątą powóz stanął przed gankiem a w niepełną godzinę przesyłka znalazła się w niecierpliwych rączkach. Zaraz otworzyli pudełko, Henio z uwagą tłumaczył Milusowi, do czego służy ciekawy instrument. A był to nadzwyczajny przedmiot, o ja-

kim nie mieli wyobrażenia. Składał się z trzech tubek, można je było podług woli wysuwać lub wsuwać.

Henio chciał jak najprędzej dojechać do biednego staruszka, — więc prosił stangreta, by popędzał konie. Piotr przyjął to do wiadomości, lecz nie przyspieszył biegu.

Dla skrócenia czasu, Henio wyciągnął trąbkę i trąbił głośno, co tak przestraszyło konie, że skoczyły w bok, a Miluś o mało co nie wyleciał z powozu. Henio chciał trąbkę napowrót zapakować, przy tej okazji upuścił ją na ziemię, — trzeba było po nią schodzić, na czem stracili dużo czasu; — a gdy wreszcie dobili celu, — dowiedzieli się, że Wirginia była u Dysona, — i nie zastawszy paniczów, poszła z wizytą, ale za kilka minut wróci.

Wiadomości tych udzieliła starsza jakaś kobieta, — która stała przed chatą Dysona i pomogła dzieciom wysiąść.

Henio pobiegł do ogródka, wymachując trąbą, poczem u drzwi zatrąbił na alarm, — ale starowina odbywał właśnie poobiednią drzemkę i nic nie słyszał.

Henio czekał minutę, potem cierpliwieść jego wyczerpała się zupełnie. — Nacisnął klamkę, i malcy weszli do chaty.

— Śpi, — wyszeptał Miluś.

— Potrząśnij nim, — rzekł Henio.

Milusz podszedł nieśmiało. — Nie bardzo to zadanie przypadło mu do smaku, — ale ani mu w myśli nie powstało nie usłuchać woli brata.

Henio ukrył trąbkę za sobą i czekał. Ale lekkie dotknięcie Milusia nie skutkowało. — Dyson uśmiechnął się przez sen.

— Potrząśnij go za rękę, — rzekł Henio.

Milusz spojrział na pomarszczoną, spracowaną rękę, i zarumienił się, dotykając jej dziecięcymi paluszkami. — Staruszek ani drgnął.

— Mocniej! — zawołał Henio.

Milusz zebrał siły, i tym razem udało mu się lepiej, bo stary podniósł głowę.

Milusz cofnął się o kilka kroków. Ale był to fałszywy alarm, — Dyson chrapał w najlepsze.

— Skocz mu na kolana, Milusiu.

Śliczna twarzyczka przeciągnęła się.

— Trzeba koniecznie?

— Czemu?

— Wolałbym nie.

— Co? — boisz się starego Dysona?

— Nie chcesz, to nie — sam to zrobię.

Postawił instrument na ziemi i skoczył ku Dysonowi.

Stary zerwał się przerażony. Na widok małych usiadł napowrót i rzekł z uśmiechem:

— Nauczycielka powiedziała, że panicze przyjadą, — jak się panicze mają?

— Dziękuję, bardzo dobrze, — rzekł Milusz.

Dyson przyłożył rękę do ucha.

— Nie słyszę, — rzekł smutnie, — jestem już stary i codzieln staję się głuchszy.

Henio zachichotał radośnie, a i Milusz uśmiechnął się.

— Zaraz usłyszysz, nieprawda? — rzekł.

— Dysonie, — krzyknął Henio, — proszę podejść do mnie.

Bogu ducha winny staruszek wstał i zbliżył się. — Henio pochwycił trąbkę, przyłożył mu do ucha i wrzasnął tak głośno: Jak się macie? że stary aż zachwiał się na nogach, i byłby niechybnie rozbił sobie głowę, gdyby szczęśliwym trafem nie upadł na krzesło, z którego powstał przed chwilą.

Dyszał i trząsł głową przerażony, jakby chciał pozbyć się świdrującego krzyku.

Chłopcy nie wiedzieli co począć.

53

Kobieta, która ich u drzwi przyjęła, chciała zobaczyć, co się w chacie dzieje. Zajrzała przez okno, — potem weszła.

Podniosła staruszka, i wytłumaczyła, co się stało. — Zrozumiał po pewnym czasie, i począł dziękować dzieciom.

Potem kobieta cicho przemówiła przez trąbkę, i ku radości dzieci, słyszał doskonale i bardzo się cieszył.

Powoli oswoił się z dźwiękami, i prosił, by Henio przemówił. — Kobieta pamiętna wypadku, zaproponowała, by Miluś coś powiedział.

Dziecko wzięło do rąk trąbkę i powiedziało cicho:

— Przykro mi, że się pan przestraszył.

Ale Dyson nie usłyszał słabego głosiku. Podał trąbkę Heniowi, który zaskoczony, nie wiedział, co powiedzieć i ledwo przytknął ją do ust, począł się głośno śmiać, tak, że Dyson szybko usunął ucho.

— Niech panicz innym razem spróbuje, — zaproponowała kobieta.

Dyson był zachwycony podarkiem i chciał natychmiast podzielić się z sąsiadami dobrą nowiną o odzyskaniu słuchu. Biedak od tylu lat pozbawiony był rozmów i pogawędek, gdyż znajomi woleli go unikać, jak męczyć piersi głośnym krzy-

kiem. Postanowił odwiedzić kilku przyjaciół, i cała gromadka wyszła na ulicę. Pierwszą osobą, którą spotkali, była Wirginia i starowina postanowił porozmawiać z nauczycielką.

Podczas, gdy się witali, Henio skinął na Milusia i szepnął mu na uszko, że trzeba będzie zaraz iść nad staw, na którym rosną wodne lilie. Trzeba przejść przez płot,



potem iść polną ścieżką na przelaj. — Henio zna drogę i pewnie nie zabłądzą. Wspomnienie obietnicy danej ojcu nie niepokoiło małego sumienia, zapomniał o niej zupełnie. Myślał, że nawet Wirginia zgodziłaby się na wycieczkę; — przecież nie chcieli wchodzić na drzewo!



Przeszli obadwaj  
przez rów, i biegli  
z całych sił w kie-  
runku stawu.

Tymczasem Wir-  
ginia rozmawiała  
z Dysonem, i nie za-  
uważyła braku dzieci.

## Rozdział IX.

Niezwykły ruch panował w spokoj-  
nym zazwyczaj dworze pana Edwarda:  
minęła ósma, a chłopcy nie wrócili.

Na razie Wirginia nie niepokoiła się  
ich nieobecnością: nieraz zdarzało się, że  
dzieci kryły się przed nią w ogrodzie lub  
oranżeryi. Ale gdy nadeszła godzina ko-  
lacyi, a dzieci nie było, wyszła popatrzeć,  
gdzieby byli uciekinierzy.

Niepokój jej wzrósł, gdy starannie  
przeszukała mleczarnię, pralnię i ogród  
i ani tam, ani przy huśtawce, ani w psiej  
budzie nie znalazła dzieci. Gdy zaś deszcz  
począł padać, i wnet zamienił się w ulewę  
nerwy biednej Francuzki rozhulały się na  
dobre i przerażona pobiegła do domu, by  
poradzić się służby, coby zrobić należało.

Poszła do gospodyni i łamiąc ręce,  
przepowiadała straszną chorobę dla Mi-  
lusia.

— Nigdy, nigdy, zapewniała, — nie  
przyjdzie do siebie po skutkach takiego  
przemoczenia.

W jedną stronę posłała ogrodowego, w drugą stajennego z parasolami, kaloszami i ciepłymi pelerynami.



Niebawem odkryto małych winowajców — siedzieli pod płotem w kałuży. — Henio wziął na siebie winę.

— Staw i lille cudnie wyglądały — zapomnieliśmy o czasie, — dopiero gdy słońce zachodziło spieszyliśmy do domu, ale poszliśmy fałszywą drogą, i zabłąkaliśmy się w lasku.

Tam spotkaliśmy chłopca, który wprowadził nas na gościniec. Tymczasem zaczął padać deszcz. — Henio przypomniał sobie, że braciszкови szkodzi wilgoć, posadził go pod płotem (Miluś był zupełnie mokry) i czekali aż kto nadejdzie, albo deszcz ustanie.

Tak znalazł ich stangret.

Wirginia nie traciła czasu na łajanie. Szybko rozbierała Milusia, nacierała go kolońską wodą, by o ile można zapobiedz skutkom przeziębnia.

Lecz złe już się stało.



Miluś kaszlał przez całą noc, a nazajutrz obudził się zmęczony z ciężarem na pierśsiach, co zawsze było zapowiedzią płucnego cierpienia.

Zawezwany doktor kazał dziecku nie opuszczać łóżka.

Henio spędził ranek przy braciszku, potem kazano mu odejść, bo rozmowa pobudzała Milusia do kaszlu.

Pod wieczór było znacznie gorzej i Wirginia znowu posłała po doktora.

Henio czuł, że popadł w niełaszkę; by zejść z drogi strapionej Francuzce pobiegł do ogrodu. Było mu przykro, że jest sam, jednak nie obawiał się niczego, bo Miluś nieraz zapadał na zdrowiu.

Brakło mu jednak braciszka na każdym kroku. Biegał tu i tam, wreszcie udał się do swego ogródka, położonego

tuż przy pralni, gdzie stale przebywała Dolly, szczerze mu oddana dziewczyna.

Nieraz Dolly, pracując przy otwartym oknie, słyszała rozmowy dzieci. Była może jedyną istotą, która widziała Henia strapionego. — Niewidziana przez chłopczyka, była świadkiem gwałtownego wybuchu żalu po śmierci jego matki i odtąd zawsze trzymała stronę panicza.

Nigdy nie mogła zapomnieć, jak boleśnie łkał nad rzeżuchą i gorczycą, którą zasiał dla matki, a która za późno poschodziła!

Powietrze owego lata było suche i nic nie kiełkowało w ogródku. Codziennie chłopiec oglądał swe grządki, ciesząc się zwłaszcza radością ukochanej mamy, gdy jej przyniesie plon swych starań. Wreszcie owego smutnego dnia, kiedy wyniesiono ją w trumnie z domu, kiedy nigdzie nie mógł znaleźć sobie miejsca i błakał się, by ujść żalowi i cierpieniu, przypadkiem zaszedł do ogródka, i tu padł jego wzrok na zielone A D, jej litery, wyrosłe bujnie i obficie.

— Teraz mi was nie trzeba, — łkał boleśnie, — pociście powyrastały, kiedy was mama nigdy nie zobaczy.

Było to tego samego dnia, w którym ojciec widział, jak gonił jagnięta na łące.

W ogródku było dużo zajęcia, to też Henio pracował z zapalem, potem pomagał Dolly obracać magiel, i uprosił sobie dużą flaszeczkę wody mydlanej, aby móżdżek puszczać bańki. Opowiedział praczce jaki

zaszczyt czeka ją w dniu dożynek, — i zapytał, co za suknię weźmie przy tej sposobności. Dolly miała zamiar kupić drukowanego perkalu w kwiatki i zasięgnęła rady panicza, co do koloru.



Henio pomyślał chwilę, — a że najpiękniejszym przedmiotem, który widział w ostatnim czasie było pudełko do cygar, ofiarowane niedawno papie, więc doradził purpurę ze złotem.

Dolly zdziwiła się trochę i wyraziła wątpliwości co do istnienia tych barw w wiejskim sklepiku.

— Żółte tak samo będzie wyglądało, — poddał Henio. — Zupełnie jak dojrzałe żyto.

Dolly obiecała, że postara się o żółtą materę w czerwone paski lub kółka, a gdyby i takiego nie było, weźmie gładką żółtą i obszyje czerwoną taśmą.

Czas szybko uciekał. — Ale nawet Heniowi wydało się wkońcu dziwnem, że go nikt nie wołał na kolację, złożył więc swe ogrodnicze narzędzia i pożegnał się z Dolly. Po drodze wyrwał kilka redysek, by poczęstować Milusia, potem pobiegł do domu.

Zdumiał się, że drzwi od pokoju były zamknięte i zaczął energicznie pukać.

— Milusiu — wołał — przyniosłem ci redysek!

— Proszę otworzyć, Wirginio, to ja.

Drzwi otwarto z hałasem i Wirginia wpadła na korytarz.

Henio od razu zauważył, że była w złym humorze, ale nie wiedział, czy to z gniewu, czy z przestachu. Było zawsze złym znakiem, gdy otuliła twarz flanelą. Dzieci nie mogły wypośrodkować, czemu przy najmniejszym rozdrażnieniu Francuzka podwiązywała sobie twarz. W każdym razie był to dowód, że stało się coś niezwykłego i Henio czekał z niepokojem na to, co mu powie.

Wirginia wyrzuciła z siebie potok słów; w uniesieniu mówiła tak prędko, że chłopczyk z trudnością szedł za jej myślą. — Ale zrozumiał, że Miluś jest chory, — bardzo chory, — że doktor się niepokoi i że to wszystko z winy Henia, — że obudził stukaniem Milusia, który właśnie usypiał, że teraz ma sobie iść, i nie przeszkadzać, bo wszyscy się na niego gniewają, nawet doktor.

Potem wróciła do pokoju, przekreśliła klucz w zamku — a chłopczyk został na korytarzu ze swą wiązką redysek w ręczce.

Rumieniec zgąsł na twarzyczce Henia, — próbował zrozumieć, co mu powiedziano.

— Miluś jest tak chory, że aż zaniepokoiło to doktora.

Ta myśl pierwsza skryształizowała się w głowie dziecka, obawa i przerażenie nieomal sparaliżowały mu ruchy. Przyłożył oko do dziurki od klucza, by zobaczyć, co się dzieje w pokoju, — potem, przykłąknawszy na macie, wy tężył słuch.

Panująca wewnątrz cisza, przerywana tylko szeptem, przestraszała go i serduszek poczęło mu walić, jak młotem.

Obawy te zniknęłyby, gdyby mógł zajrzeć do sypialni i zobaczyć Milusia śpiącego w łóżeczku i Wirginie, zmieniającą

mu siemienny okład, albo szepcą do Joasi, by przyniosła chłodzący napój.

Nieraz tak się zdarza przy nagłych chorobach.

Najgorzej cierpią ci, którzy nie wiedzą, o co chodzi, bo tajemnica i niepewność, są jak przewidywania, zawsze przykrzejsze od prawdy.

Wyobraźnia biegnie szalona, i przysparza cierpień niewtajemniczonemu. — Zwłaszcza los dzieci jest w tych razach litości godnym! Wszystkich myśli grupują się w koło chorego, — nikt nie ma czasu na słowo do biednych istotek, które drżące stoją za progiem pokoju chorego. Czują, że są bezużyteczne i tylko przeszkadzają, nie śmiały zapytać biegających z pokoju i do pokoju pielęgniarek, które zresztą i tak nie zatrzymywałyby się dla dania żądanych objaśnień. Każdy odgłos wzrasta w ich umyśle i nabiera straszliwego znaczenia.

Przerażenie brzmiał w szepczących głosach, — rozpacz w ostrym dźwięku dzwonka, — tajemnica nawet we wołaniu o łyżeczkę i szklanekę i ich brzęczeniu, gdy je podają u drzwi.

Wszystkich tych uczuć i silniejszych jeszcze doświadczał Henio. Zaznaczam »silniejszych«, bo obawy jego były poważniejsze, niż u zwyczajnego dziecka.

Strach, o którym była mowa, jest zwykle bezimiennym strachem. Dziecko nie wie, czemu się boi, i czego; — wszystko jest ogólnikowe i nieokreślone, — bo nie ma doświadczenia w cierpieniu.

Ale Heniowi choroba i śmierć nie były obcemi, — grały już rolę w jego krótkim życiu, — surowy gość przeniknął mury domu i zostawił puste, nigdy nie wypełnione miejsce. Co raz się stało, mogło się stać i raz drugi. — I zrozumiał tylko: Miluś umiera, — może już umarł.

Dziecko z usposobieniem Henia cierpiał bardzo silnie, gdy stanie oko w oko z bólem. Możliwość łatwego zapomnienia jest ulgą przyznającą, ale w danej chwili nie uśmierza odczucia. W życiu przeszłość i terażniejszość ginie w nędzy bieżącej chwili a poczucie terażniejszości zupełnie zanika.

Biedny malec, miał tak czułe serduszko! tak wyrzucał sobie swe przewinienia, tak wrażliwy był na każde nieprzyjemne słowo.

A mimo to nikt nie przypuszczał, że bezmyślny, ruchliwy może być zdolny do głębszych uczuć, i nawet własny ojciec dziwił się i nieraz sobie mówił:

— Chłopiec nie ma serca!

Nie ma serca? A w tej chwili w korytarzyku biedne serduszko prawie pęka.



Ukluty ostremi słowami Wirginii, — przygnieciony obawą o braciszka, — niespokojny przewidywanym gniewem ojca, pełen wyrzutów



na myśl o złamanem przyrzeczeniu, Henio upadł na podłogę, — i płakał jakby mu serce pęknąć miało.

A przy całym zmartwieniu odczuwał boleśnie, że nikt nie starał mu się pomóc, że uważają go za powód choroby i całego nieszczęścia.

Przecież, — myślał, — jego zmartwienie większe jest od ich zmartwienia. Przecież Miluś był jemu bliższy niż Wirginia. A jednak zostawili go we łzach i łkaniu.

Straszne poczucie samotności ogarnęło duszę chłopczyka, podczas gdy leżał na ziemi, przy drzwiach. — W godzinie męki tak bardzo potrzebował współczucia, a nikt mu go nie dał. Wtedy powstała mu w sercu tęsknota za matką, żal za wszystkim, co miał i co stracił, wreszcie jakieś przytłaczające poczucie próżni w życiu, że nie mógł tego znieść dłużej, i porwał się na nogi z łkaniem, które nieomal w krzyk przechodziło.

Czuł, że ból trzeba usunąć, bo nie mógł go znieść i walczył z nim rozpaczliwie. — Znał dawnego nieprzyjaciela, z którym

często targał się w rozpaczliwych zapasach i którego napady zawsze z przerażeniem wspominał. — Zamieszkiwał nieznany kącik, głęboko w sercu i tylko od czasu do czasu wstawał, by mu dokuczyć. Ostatnimi czasy rzadziej go oblegał, napady były słabsze i zdarzały się w dłuższych przerwach. Czemu teraz powstał z nieprzewartą siłą? Jak odpędzić wrażenie czczości i pustki?

Próbował myśleć o swym ogródku, o zabawkach, o wszystkim, co stanowiło radość młodego istnienia.

Czy wielu z nas, dorosłych latami, ale dzieci rozumem, nie walczy z nieokreślonym w ten sam sposób? I kiedy nas oblega to tajemnicze uczucie, zwane bólem, czyż naszą pierwszą myślą nie jest: Jak się tego pozbyć?

Nazwijmy to uczucie żalem, rozpaczą, rozczarowaniem, troską, niepokojem, — nazwijmy je jak chcemy, czy nie staramy się zabić je, nadając myślom inny kierunek?

— Tu na tym korytarzu dokazywaaliśmy z Milusiem — myślało dziecko — wczoraj rano skakaliśmy po tych schodach, — po tych poręczach ześlizgnął się. Czemu to wszystko teraz inaczej wygląda?

Nie było sposobu uciec od wspomnień niedawnego szczęścia w starym domu.

Nigdy jeszcze Henio nie wyglądał tak posepnie, — nigdy chłopczykowi nie podpadło, jaki to był pusty dom, — zamieszkania jedynie przez bonę i dwoje małych dzieci.

Nie było ani szmeru, ani nigdzie znaku życia, — zmierzch pełzał po milczącym przedpokoju i schodach — i Henio widział, że w niezamieszanych parterowych pokojach już się ściemnia.

I nagle jakby na drwiny, przyszło żywe wspomnienie czasów, kiedy matka jeszcze była w domu, jej głosu i uśmiechu na tychże samych schodach, jej postaci w pokojach; tak jasno i wyraźnie stanęło przed nim widzenie, jej łagodne oczy i słodki uśmiech, że sierota nie mógł wytrzymać na miejscu. — Zakrył twarzyczkę rączkami, aby nie widzieć matki — i pobiegł korytarzem, jakby przypuszczał, że zostawi swój żal za sobą.

Lecz pustka towarzyszyła mu dokąd poszedł; biegła za nim schodami. Dogoniła go, gdy naciskał klamkę do salonu, szła przed nim przez ciemne pokoje, i czekała gdy przestąpił próg pokoju matki. Światło przenikające przez szpary okiennic było bardzo słabe, — oczy Henia szukały portretu i po chwili rozróżnił śliczną postać i uśmiechnięte dziecko w jej ramionach.

Podbiegł i rzucił się na otomanę pod obrazem.

— Mamo — łkał — niech mama wróci! Wszyscy się na mnie gniewają — i tak mi strasznie źle samemu.

Wokoło zimne, puste milczenie, — matka i dziecko uśmiechali się, niewzruszeni jego słowami, nawet gdy znów spojrział, światło zniknęło z obrazu, — i został sam w wzrastającej ciemności.

Napróżno próbował wystawić sobie, że jest jeszcze dzieckiem na portrecie, że czuje jej ramiona wkoło siebie i pierś pod głową! Nie dało się.

Przyszedł tu w napadzie bólu, — wspomnienie matki uspokoiło go — ale w strasznym poczuciu samotności potrzebował pociechy — i... nie znalazł jej.

A jednak pociecha była tuż — gdyby tylko jej poszukał!

»Jak wasza matka was pociesza, tak i ja was pocieszę.«

Henio nie wiedział o tem, i nie umiał znaleźć pociechy. — Nie wiedział o wszechobecności Bożej, — w zwykłych warunkach pamiętał, że Bóg jest przy nim, ale w godzinie bólu nie był zdolny do innej myśli, jak o swem zmartwieniu.

A my, dorosłe dzieci, ale jednak dzieci co do rozumienia, — czy niejedni z nas, choć dojrzali doświadczeniem, nie postępujemy podobnie?

— Niema rady — mówimy — ból nasz przechodzi nasze siły.

Leżymy jak dziecko zmiążdzeni i zrozpaczeni, a Bóg, którego bliskość zwykle czujemy, — zdaje się ukryty wysoko nad nami.

Lecz to jedynie pozór, nie rzeczywistość.

Bóg jest niezmienny, zmiana naszych uczuć nie dotyczy Go zgoła.

Ukryty za chmurami, któreśmy sami stworzyli, jednak jest tym Samym, którego obecność czuliśmy w szczęśliwych chwilach.

I choć w niczem się do tego nie przyczyniamy, On zawsze gotów do pomocy i jakby zarazem chciał nas pocieszyć, powiada przez usta proroka:

»Zanim zawołali, już odpowiedziałem«.

A czem można było ulżyć dziecinie w strasznej chwili cierpienia?

Pan wiedział, choć my nie znaleźlibyśmy rady.

Serduszko leżało przed Nim jak otwarta księga. — I widział, że ból pierzchnie przed światłem poranku, — i że tylko na razie pomódz trzeba.

Więc spoglądając litośnie na samotne dziecko, zesłał mu jedyny środek na uspokojenie, spuścił na ciężkie od łez powieki boski dar, zesłał mu spokój — zanim godzina bólu przejdzie i przeminie!

W jakąś godzinę, pokojowa znalazła Henia w głębokim śnie i ostrożnie, by nie obudzić chłopczyka, przeniosła do łóżeczka.



64

## Rozdział X.

Henio spał długo, a gdy się obudził, słońce świeciło wysoko.

Wyskoczył z łóżka, uradowany pogodą, lecz w tej chwili zdumiał się faktem, że noc spędził w gościnnym pokoju. Zaczął sobie przypominać wypadki poprzedniego dnia, gdy otwarto drzwi i weszła Joasia.

— Nareszcie paniczu! Już myślałam, że panicz nie zbudzi się przed wieczorem. Panicz Miluś od dawna pyta o panicza.

— To mu już lepiej?

— Lepiej — wykrzyknęła Joasia. — Jest mu całkiem dobrze!

Joasia znalazła dnia poprzedniego Henia przed obrazem matki, i w zalanej łzami twarzyczce śpiącego dziecka wyczytała całą historię ostatnich godzin.

Zresztą obecnie mówiła prawdę. Milusiowi polepszyło się w nocy i nie było powodów do dalszych obaw.

Henio wpadł od razu w znakomity humor, ubrał się pospiesznie i niebawem braciszki bawili się wesoło.

Henio nie wspominał cierpień poprzedniego dnia. Może zapomniał, — może zostało mu wspomnienie tępego bólu, którego nie chciał powoływać do życia. Słoneczna jego natura unikała przykrych myśli. Wesołe usposobienie sprawiało, że odrzucał niemiłe wspomnienia — i może nigdy weselej nie opowiadał i śmiał się, jak owego poranku, przy łóżeczku braciszka.

Dzień był śliczny, pogoda dopisała. Miluś był prawie zdrow — ojciec miał przyjechać (wezwany depeszą Wirginii), życie wydawało się pełnem szczęścia i słońca.

Wirginia nie przyszła jeszcze do siebie po wstrząśnieniu ubiegłych godzin, — podwiązała sobie twarz flanelą i z oburzeniem patrzyła na radość chłopca. Nie rozumiała go wcale.

Nie mogła mu darować, że przez lekkomyślność naraził ją na niepokój — a naturalnie nie wiedziała, ile cierpiał — i w dzisiejszej wesołości widziała nowy dowód braku serca.

Henia nie było w pokoju, gdy ojciec przybył; właśnie wybiegł był do ogrodu. Wirginia bez przeszkody roztoczyła przed panem Edwardem skargi swe i żale.

Ojciec przeraził się wyglądem Milusia, którego krótka choroba niezwykle wyczerpała i cierpliwiej niż zwykle słuchał opowiadań bony.

Delikatne dziecko dziwnie podobne było do matki, jak leżało w łóżku, z błyszczącymi oczyma, i policzkami zaróżowionymi przebytą gorączką. Niejasna trwoga o życie Milusia, która od dawna prześladowała ojca, przybrała wyraźniejsze kształty.

Oburzyło go nieposłuszeństwo Henia i rozgniewał się nie na żarty.

Jest bez serca, — myślał patrząc na Milusia, uszczęśliwionego przybyciem ojca. Nie mógł się oderwać od ukochanego malca, pieścił go i całował bez końca, i tem rozpaczliwiej uprzytomniał sobie, że o mały włos go nie utracił.

Pan Edward zszedł do biblioteki i zadzwonił na służącego.

— Niech Henio natychmiast tu przyjdzie.

— Nie przypuszczam, że słowa me wywrą jakiegokolwiek na nim wrażenie, myślał, ale spróbuję. Coprawda nie łudził się co do uczuć Henia, ale nie przypuszczał, że chłopczyk wesoło i z hałasem wpadnie do pokoju.

Ojciec nie lubił napominać lub karać dzieci; kiedy okoliczności zmuszały go do

tego, zawsze wmawiał w siebie, że obowiązek nakazuje mu dbać o dobro synów i karcić, gdy widzi coś złego.

Teraz rozgniewało go jednak, że chłopiec wszedł pewny siebie, jak mu się zdawało z arogancką miną — i zawołał oburzony:

— Co znaczy takie zachowanie?

Henio pracował w ogródku, kiedy go zawezwano do ojca. Rzeczywiście zapomniał o chorobie Milusia i jej powodach.

Ani mu w myśli nie powstało, że ojciec może mieć dla niego wyrzuty za nieposłuszeństwo, to też powitanie zdumiało go niemało, a zdziwiona mina do reszty rozgniewała ojca.

— Nie stój, jakbyś nie wiedział, o co chodzi, — zawołał surowo, — narażasz braciszka na ciężką chorobę a potem nie uznajesz winy? Czy nie wiesz, żeś postąpił wbrew memu rozkazowi i złamał daną obietnicę? Czy nie zabroniłem ci chodzić nad staw? Powiedziałem, że nie pozwalam na przechadzki w tę stronę. — Jeżeli nie możesz być grzecznym i posłusznym w domu, to odeszłę cię do szkół. Rozumiesz mnie?

Teraz Henio rozumiał. Usta mu drżały, krew zalała policzki — nigdy tak ojciec nie przemawiał. Walczył ze łzami, nie chciał mówić, by się nie rozpląkać.

Gniew baroneta już przeminął.

— Widzisz, dziecko, — zaczął łagodniej, — zawsze ta sama sprawa. Dzień po dniu, tydzień po tygodniu słyszę te same skargi. Przecież jesteś dość duży, by zrozumieć, że Miluś jest bardzo delikatny i że, jako starszy masz się nim opiekować a nie namawiać do złego. Czy wiesz, tu zniżył głos do szeptu, że o mało nie straciliśmy Milusia?

Ku zdziwieniu ojca Henio wybuchnęła płaczem. Słowa ojca przypomniały mu cierpienia wczorajszego dnia; cała drobna postać drżała od łkań.

Pan Edward zapomniał o wyrzutach. Jak wielu mężczyzn tak i jego przerażał widok łez — wziął dziecko na kolana i począł pocieszać.

— Cicho, cicho, — uspokajał, głaszcząc kędzierzawą główkę; — nie płacz już. Ale pamiętaj, co ci powiedziałem i odtąd słuchaj. A teraz uściskaj mnie, i idź bawić się w ogrodzie.

Henio podniósł ku ojcu zalaną łzami buzię, a w chwilę potem grał z chłopcem kredensowym w krokieta, bez śladu żalu w serduszku.

Pan Edward pozostał niezadowolony w bibliotece. Nie wiedział, jak postąpić. Przestraszył się chorobą Milusia i drżał na myśl o następstwach przeziębienia

lub kaszlu. Wiedział niestety z doświadczenia, jak troskliwie trzeba czuwać nad chorymi piersiowo, jak każda nieostrożność może przynieść nieprzewidzianą zmianę. Pamiętał wolny, lecz ciągły postęp strasznej choroby. Pamiętał małe przeziębienie, potem gorączkę, i ciche, powolne gaśnienie żony. Z każdym dniem widział, jak oczy coraz silniejszym pałały blaskiem, jak policzki czerwieńły się wewnętrznym żarem. Coraz szczuplejsza twarzyczka żony tak podobną była do małej twarzyczki syna, że dziś we wspomnieniach nie mógł prawie rozróżnić jednej od drugiej.

Trzeba koniecznie przedsięwziąć stanowcze kroki, by zapobiedz postępowi choroby. Ale co czynić? Jasne, że nie można zafać Heniowi. Ale pan Edward nie mógł rozłączyć braci. Nie mógł też przykazać Wirginii, aby ich nie spuszczała z oczu. Już i tak widziała wszędzie niebezpieczeństwo.



Chłopcy muszą się bawić, — rozmyślał, — a we wieku Henia zwykle urządzają figle i psoty. Nie chcę zrobić z niego ślamazary. I mimowoli uśmiechnął się na myśl, że Henio mógłby być ślamazarny.

Gdyby Miluś był wpadł do stawu? Sam Henio mógłby go popchnąć; on nigdy nie zważa, dokąd idzie. A wtedy, Boże miły! pewne zapalenie płuc!

Niedługo skończy się sesja parlamentu, — wtedy poświęcę się zupełnie wychowaniu dzieci. A teraz zostanę tu, póki Miluś nie wyzdrowieje.

## Rozdział XI

Nastąpiły miłe chwile spędzane w ciasnym kółku rodzinnym. Wiele lat później wspominał je baronet z żalem serdecznym.

Zdrowie Milusia polepszało się stale; w kilka dni potem przynoszono chłopczyka do biblioteki, gdzie wygodnie usadowiony w głębokim krześle, spędzał szczęśliwe godziny. Czasami bawili się w zajmujące gry, czasami pan Edward



czytał głośno ze »zbioru baśni«, który kazał przysłać z Londynu pod adresem małego pacyenta. Raz czytał bajkę, która zachwyciła malców. Było w niej opowiadanie o cudownym zwierciadle, które posiadało czarodziejski dar ukazywania właścicielowi, co w danej chwili robią jego przyjaciele i znajomi.

— Jakbym pragnął mieć takie zwierciadło, — zawołał Henio.

— I jaby'm pragnął, — powtórzył, jak echo Miluś.

— A to czemu? — spytał ojciec.

Henio nic nie odpowiedział — zamyślony patrzył przez okno.

— Kogobyś chciał zobaczyć, mój człowieczku, — zwrócił się ojciec do Milusia?

— Papę, naturalnie.

— Przecież jestem z wami.

— Nie zawsze, — odrzekł Miluś, kładąc małą rączkę na ramieniu ojca. — Kiedy papa jest w Londynie, chciałbym wiedzieć co papa robi.

Było to jedno z serdecznych zdań, któremi dziecko podbijało bezwiednie serce ojca.

— Chciałbyś mnie widzieć, kiedy mnie niema, — rzekł baronet, pieszcząc syna, — a brak ci mnie, gdy jestem daleko?

— Strasznie brak, chciałbym, żeby papa nigdy nie odjeżdżał; prawda, Heniu, jak papy niema to nam smutno, i chcielibyśmy, by nigdy nie odjeżdżał?

Pan Edward spojrział na starszego chłopczyka w nadziei, że z ust jego usłyszy gorące przytakiwanie; ale Henio patrzył dalej zamyślony w okno i nie zważał na nic.

— O czem on myśli? — zapytał szeptem Milusia.

— Nie wiem, — może bardzo pragnie cudownego zwierciadła.

A rzeczywiście zdawałoby się, że chłopiec pragnie czegoś gorąco, i zarazem wie, że tego nigdy nie posiędzie, bo ciemne oczy pełne były łez, gdy patrzyły na błękitne niebo.

— Niech papa chwilkę poczeka — szeptał Miluś, — on papie powie, jak nam papy brak, ale przedtem musi myśleć. Często, gdy myśli, nic nie odpowiada i nie trzeba mu przeszkadzać. W załamionych oczach zabłysło nagle zainteresowanie i Henio skoczył ku oknu, wołając:

— Jastrząb! jastrząb! goni wróbla! Pewny jestem, że go zaraz złapie!

Rozczarowany pan Edward przytulił do siebie Milusia.

— Ani myśli o nas.

— Co, — zawołał Henio, — czy papa do mnie mówił? o czem rozmawialiście, Milusiu?

— O zwierciadle, — powiedziałem, że bardzo chcielibyśmy widzieć, co papa czasami robi w Londynie.

— To dopiero byłaby radość, — odrzekł Henio, siadając przy braciszku, czasem zobaczylibyśmy papę w klubie, a czasem w automobiliu, albo jak przemawia w parla-



mencie, prawda papo? — papa wyciąga rękę jak Pitt na posągu — czy nie?

Pan Edward śmiał się wesoło.

— Nie bardzo często jestem w tem położeniu.

— A jak jeszcze widzielibyśmy papę?

— Gdybyście patrzeli późnym wieczorem, nieraz zobaczylibyście mnie w tej pozycyi.

Odrzucił głowę i zamknął oczy.

— Co! Papa śpi?

— Tak i chrapł nawet.

— A królowa nie gniewa się o to?

— Królowa także sypia o tej porze.

— W parlamencie?

— Nie, w swoim pałacu.

— Ale nie zawsze śpi w nocy, czasem kładzie się dopiero nad ranem, — zapewniał Henio. — Czasem wydaje bal. — Widziałem nawet obrazek w starej książce. Królowa siedzi w koronie i rozmawia, a inni stoją i czekają aż coś do nich powie.

Ów obrazek przedstawiał bal na dworze królowej Anny (1710), ale Henio nie zważał na takie drobnostki. Dla niego królowa była oczywiście panującą królową Wiktoryą.

— Czy papa czasem chodzi do królowej na bal? — dopytywał Miluś.

— Tak, kochanie — ale już od dawna nie byłem na żadnym dworskim przyjęciu.

— Bo papa na to za stary — nieprawda? — zauważył Henio.

— Z pewnością — za stary jestem, by tańczyć, — rzekł baronet, któremu przed oczyma stanął obraz żony, cudnej w balowej sukni. Była wtedy najpiękniejszą damą w sali, królowa wyróżniła ją kilka razy.

— Papo, czy tam tańczą polkę?

— Głównie walce i kadryle.

— A jak papa był młody i chodził na bale, to tańczyli menueta? Czy papa nosił perukę?

— Ależ synku, — zaśmiał się, — ileż mam lat podług twoich przypuszczeń?

Dzieci nie miały pojęcia o wieku ojca i przez kilka minut zgadywały z zapalem.

Ostateczny rezultat wahał się między trzydziestką a siedmdziesiątką.

— Czy nie pobiegniemy do ogrodu, papo? — zaproponował Henio.

— Teraz za gorąco na bieganie, — ale jeżeli cię nudzi siedzenie w domu, to wyjdź, mniej więcej za godzinę przyjdę po ciebie.

— Pójdziemy do wsi, dobrze? Porobię sprawunki. Dyson ma trąbkę — nie mam na co oszczędzać, — a chciałbym wydać moje grosze.

— Bardzo dobrze, — gdzież cię znajde?

— Pójdę nakarmić zórawia, albo popracuję w ogródku albo może, — dodał po namyśle, — wdrapię się na jabłoń. A jakby mnie tam nie było, to będę w ogrodzie warzywnym. Gdyby mnie papa nigdzie nie znalazł, to niech papa zajrzy do kurnika. Poszukam jaj na kolację dla Milusia.

— Czy kurnika nie zamykają?

— Zamykają, ale to nic nie szkodzi. Jest małe przejście dla kur, — zawsze tędy się wślizguje.

— Chyba nie przypuszczasz, że i ja pójdę tą drogą?

Sama myśl o baronecie, wciskającym swą tęgą postać przez wązki otwór wywołała salwę śmiechu.

— Byłoby strasznie zabawnie. Papa uwiązłby na środku i nie mógłby wyjść ani wejść.

Milus aż zakaszłał się od śmiechu i ojciec wysłał copędzej Henia do ogrodu.

Ale gdy go w godzinę później odnalazł w ogrodzie, pokazało się, że chłopczyk przez cały czas nie odstępował zórawia.

— Zabawny z ciebie chłopiec, — rzekł ojciec, kładąc mu dłoń na ramieniu, brzydki zóraw jest ci droższym niż wszystko inne. Nie lubię go, jest niewdzięczny, im jesteś dla niego lepszy, tem złośliwszym się staje.

— To prawda, biedak jest bardzo złośliwy — potwierdził Henio. — Niech papa spojrzy. — I wyciągnął rękę, na której widniały ślady podziobania. — Tak mnie urządził! I to przy każdym żywieniu.

— Na twojem miejscu nie karmiłbym go.

— Toby zdechł z głodu. Zresztą nie dziwię mu się, że ma zły charakter. Każdegoby rozgniewało, gdyby musiał skakać na miejscu, podczas gdy jemu podobni mają cały świat przed sobą, i mogą latać nawet za morze. A on nie może latać jedynie z mej winy.

Ojciec nie zrozumiał ostatnich słów, ale wyraz smutku w twarzy dziecka przypomniawszy mu, że dotknął bolączki, więc zmienił temat rozmowy i niebawem znaleźli się obaj na drodze do wsi.

Kiedys Henio i Milus bawili się w ogrodzie a zóraw, zdrów i wesół latał opodał. Henio bez żadnej złej myśli rzucił na niego kamieniem, wołając: A pójdziesz nieznośne ptaszysko!

Kamień, choć rzucony niewprawną ręką,



trafił ptaka, który trzepocąc się, spadł na ziemię.

Praczka Dolly nadbiegła na krzyk dzieci. Podniosła trzepocącego się ptaka: niestety skrzydło i noga były złamane Henio lkał boleśnie. Nie mógł zapomnieć, że z jego powodu biedne stworzenie pozabawione jest zdolności ruchu. Długo nie dał się pocieszyć.

Troskliwe starania Dolly przywróciły ptakowi zdrowie, lecz latać nie mógł. Henio mówił, że pewnie biedny zóraw wolałby zdechnąć, bo takie życie nie ma dla niego powabu. Ile razy przechodził koło niego klatki, tyle razy czuł wyrzuty, nigdy o tem nie mówił, lecz pilnie karmił i pielęgnował ptaka.

Podczas przechadzki ojciec pytał syna o postępy w naukach.

Henio zawsze był zadowolony ze siebie: czytanie, pisanie, francuskie, słowem wszystko umiał bardzo dobrze. Tak przynajmniej twierdził.

Ojciec miał o tem inne zdanie. Kiedyś Henio zapewniał go, że umie świetnie słowa posiłkowe. Pełen ojcowskiej dumy zawołał syna, by się przed babką pochwalić jego umiejętnością.

Była to dama o staroświeckich przekonaniach: twierdziła, że naukę języka

trzeba zacząć od gramatyki, że powinno się rozpocząć uczenie od systematycznego uczenia wokabuł i rozmówek.

— Myślę, mamó, — rzekł nieco podrażniony w ojcowskiej dumie, — że niewielu chłopców w jego wieku tak dobrze mówi po francusku i tak świetnie deklinuje i konjuguje.

Zawołano więc Henia, który zapytany o czas teraźniejszy słowa mieć, palnął bez wahania:

Mam,  
Masz,  
Ma,  
Byliśmy,  
Byliście,  
Byli.

Co do historii, to rzeczywiście wiadomości chłopczyka były zdumiewające. Lubił przedmiot, który podniecał jego wyobraźnię. — Opowiadał teraz ojcu z zapalem o dworze Henryków i tak był zajęty obyczajami króla Sinobrodego, że zrezygnował z robienia zakupów.

— Pójdziemy w inną stronę — rzekł, — a po drodze wstąpimy do Toma, oddam mu moje pieniądze.

Tom był kulawy, nie mógł zupełnie chodzić, i dnie całe spędzał w krześle. Henio serdecznie się nad nim litował,

dobrze serce dziecka ścisnęło się na myśl, że żyje istota, która nigdy nie może biegać, skakać i jest nieomal przygwożdżona do krzesła, cały okrągły rok!

Przechodząc, dał mu swe grosiki, zapytał o zdrowie i poszedł dalej zmartwiony niedolą, której nic nie mogło usunąć.

Ojciec z synem wrócili późno do domu, gdzie Miluś niecierpliwie czekał na ich powrót. Zagraли w »starą pannę«, przyczem obaj braciszkuwie z wielkim skupieniem śledzili ruchy królowej, i chyba żadna »dama w pewnym wieku«, nie dokłada tyle starań by dostać męża, jak dzieci, by pozbyć się fatalnej karty.

To też z głośnymi okrzykami i klaskaniem w ręce przyjęli do wiadomości, że ojciec został »starą panną«.



## Rozdział XII.

Pewnego cudnego dnia pan Edward zabrał chłopców w pole, by im pokazać nową żniwiarkę. Wieczorem miał już wrócić do Londynu, była to ostatnia podróż w tym sezonie, bo wkrótce parlament zamknął podwoje, i baronet ku ucieście dzieci wracał na stałe do domu. Obiecał im, że dożynki odbędą się za tydzień.

Pole leżało przed nimi złote od dojrzałego zboża. Cztery silne konie ciągnęły maszynę, która szybko obracała śmigami, zostawiając ścięte wiązki zboża. Żniwiarze szybko wiązali snopki, — słychać było wesole krzyki i nawoływania, przerywane tylko krótkimi rozkazami maszynisty.

Henio zmieszał się z gromadą, tym pomagał przy snopkach, tamtych podawał powrósł, a przeszkadzał wszystkim. Ku przerażeniu ojca ciągle podchodził pod koła maszyny, to znów stawał przy koniach, — wreszcie prosił ojca, by mu pozwolił usiąść przy maszyniście.

Ojciec sam go podsadził, i maszyna znów ruszyła, a za nią żniwiarze. Tymczasem baronet spojrział na zegarek i zobaczył, że czas jechać na kolej. Nie miał serca psuć zabawy dzieciom.

Nic im nie grozi, pomyślał, tyle ludzi naokoło, przejeżdżając koło domu, powiem Wirginii, by tu przyszła.

Henio był już daleko, — uściskał więc Milusia, który tymczasem bawił się z jakąś małą dziewczynką i powiedział mu, by pożegnał od niego braciszka.

Milus podniósł buzię do pocałunku, i zapytał serdecznie:

— Wróci papa niedługo? A potem już nie odjedzie?

— Niedługo, synku, i nie opuszczę was aż do przyszłego roku. Będziemy się dobrze bawili, ale pamiętaj, żebyś nie chorował!

— Przyrzekam, papo.

Pan Edward nie mógł się oderwać od dziecińy, uściskał Milusia kilka razy, potem poszedł ku domowi.

Gdy otwierał bramę, obejrzał się jeszcze raz za siebie. Milus stał na tem samym miejscu, na którym go zostawił, i posyłał mu pocałunki. Za nim rozciągało się obszerne pole, a w głębi widać było zbliżającą się, żniwiarzami otoczoną ma-

szynę. Henio siedział przy maszynie, — trzymał cugle w rękach, i dumnie powoził czwórka.

Tak pan Edward opuścił swych synów.

Henio, zziębnięty powożeniem, zeszedł z wysokiego siedzenia i począł się bawić z braciszkiem. Z początku szli za żniwiarką i zbierali kłosa, — ale wkrótce ustalili i usiedli pod płotem, by odpocząć.

— Nawet tu jest bardzo gorąco — rzekł starszy, — wachlując się kapeluszem. Chodźmy pod tamto drzewo — gdzie siedzieliśmy z wujkiem, — pamiętasz? Opowiadał nam bajki.

Przeszli przez płot i znaleźli się pod drzewem.

— Powiastki wujcia Karola były bardzo ładne, — westchnął Henio, chciałbym usłyszeć je jeszcze raz. Szkoda, że papa nie pozwolił nam wdrapać się na drzewo nad wodą. Byłoby ślicznie, gdybyśmy się czołgali po krzywym konarze, jak ów człowiek w opowieści wujcia. Papa mówi,



7

że konar jest spróchniały. Ale to chyba pomyłka, bo wygląda zupełnie zdrowo!

Westchnął i umilkł na chwilę.

Ale myśl pracowała dalej.

— Moglibyśmy iść i popatrzeć. Przy stawie musi być chłodno.

— Nie chodźmy. Znowu zbłądzimy i Wirginia się pogniewa.

— Widzisz Milusiu, stąd znam doskonale drogę. Wtedy szliśmy od Dysona, więc zmyliłem.

— Ale pomyśl, co to będzie, jeżeli znowu zmokniemy! Obiecałem papie, że się nie rozchoruję.

— Zmokłeś na deszczu, nie od wody w stawie, a dziś napewno nie będzie padało. Spójrz na niebo! Ani jednej chmurki niema!

Obaj równocześnie podnieśli główki. Rzeczywiście, niebo było jasne, ale daleko, na zachodzie czerniło się coś podejrzanego.

— Tamte chmury powoli się wloką, do nas zajdą w nocy, — pocieszał Henio.

— No! ruszajmy, to niedaleko!

— Lepiej zostańmy.

— Tylko popatrzmy. — Czego się boisz?

— Nie wiem, — odrzekł malec żalonym głosem — ale proszę, nie chodźmy tam!

— Nie chcesz, to nie. — Pójdę sam, i prędko wrócę.

Lecz Miluś nie chciał zostać sam na polu, powstał więc z westchnieniem i wziął brata za rękę.

— Pójdź, — rzekł z rezygnacją.

— Dobrze, — widzisz sam, że niema czego bać się. Co?

— Nie, — nie boję się, — rzekło dziecko, — ale twarzyczka mu pobladła a głosik drżał.

Szli łąką — aż ujrzeni tafłę stawu, błyszczącą wśród traw jak srebrna płyta. Stanęli obok siebie na brzegu.

— Tylko popatrzmy, Milusiu, — zapewniał Henio.

Słowa wypowiedziane były po długim milczeniu, i zabrzmiały w ciszy tak niespodzianie, że Miluś zadrżał. Zdawało się, że zbudziły mieszkańców zakątka, bo ptak jakiś nagle wyfrunął z gąszcza i zniknął ze stłumionym krzykiem, wodny szczur zeskoczył z szerokiego liścia lilii, i plusnął w wodę o kilka kroków dalej.

Niezliczone owady wyprawiwały harce po gładkiej szybie, a kilka pszczoł brzęczało leniwie od lilii do lilii.

Gałąź drzewa zwieszała się nad wodą i liście dotykały powierzchni, — nagle zaszumiał wiatr i potrącone zielone warko-

cze poczęły zamiatać zwierciadło wody. Coś zafalowało, — lilie poczęły się chylić w tę i ową stronę, potem znów wszystko wróciło do dawnego spokoju.

Jakieś dziwne uczucie zawładnęło dziećmi. — Miluś spuścił główkę, — ruchliwy Henio milczał zamyślony.

— Chodźmy już.

— Nie jeszcze, — odrzekł Henio, jakby przebudzony z głębokiego snu. — Muszę obejrzyć gałąź. No, naturalnie jest cała — ani trochę nie nadgniła. — Pewny jestem, że nas utrzyma.

Objął pień drzewa i powoli zaczął się pięć pod górę, aż znikł w gęstych liściach.

Miluś westchnął, — nie mógł się pozbyć smutku i chciałby coprędzej uciec.

W tej chwili zadzwonił wesoly śmiech Henia; Miluś podniósł oczy i zobaczył, jak braciszek powoli posuwa się po konarze, zwisającym nad wodą. — Twarzyczka chłopca gorzała z radości, oczęta aż błyszczwały, nie uważał, że gałąź gnie się pod jego lekkim ciężarem. Posuwał się tam i napowrót, wreszcie stanął tuż przy pniu.

— A co, — wołał tryumfująco! — Przekonałem się sam! Teraz nikt nie może powiedzieć, że tu grozi niebezpieczeństwo.

Chodź, Milusiu, nie możesz sobie wystawić, jak tu ładnie!

Miluś głęboko zaczerpnął powietrza.

— Mam koniecznie wejść?

— Naturalnie. — Wdrapałem się z łatwością. — Daj mi rękę, pomogę ci.

Miluś mimowoli cofnął się, — spojrział wokół, jakby wzywając pomocy, jakby szukając choćby mysiej dziurki, gdzie mógłby się schować, — ale nie było nikogo, — tylko owady tańczyły w słońcu, i lilie cicho kołysały się na fali. Gdzieś szczur wskoczył z pluskiem do wody, — zresztą wszędzie milczenie. Był sam, i skazany na posłuszeństwo starszemu bratu.

— Przyjdę, ale pewny jestem, że się zabiję, — rzekł wyciągając rączki, które Henio mocno pochwycił. Powoli wciągnął go aż na konar. Potem równie powoli ukląkł na nim — i pomógł Milusłowi uczynić tak samo.

Teraz poczęli czołgać się po gałęzi, zwisającej nad wodą.

Miluś zachęcony głosem i przykładem brata usiadł na niej jak na koniu. — Henio przysunął się, i ujął go wpół!

— Aha! — wołał, — aha! To nam się udało! — Tak byli zajęci, że nie zauważyli co się naokoło nich dzieje, chmury tak oddalone przed chwilą, stały nad ich gło-

wami, powietrze było ciężkie i parne, z daleka zagrzmiało i wielkie jasne krople poczęły uderzać w szybę stawu.

Teraz Henlo zrozumiał położenie, — równocześnie przypomniał sobie, co ojciec mówił o zdrowiu Milusia, — i smutny wy-  
nik ich ostatniej wyprawy.

— Musimy wracać do domu, — zawołał, — i zapominając o niezwykłym położeniu tak się poruszył, że o mało nie zrzucił Milusia z gałęzi. Instynktownie wyciągnął ku niemu rękę, Miluś pochwycił ją również instynktownie, przyczem obaj stracili równowagę.

Gwałtowny ruch był za silny na zmur-  
szone drzewo.

Zakołysała się gałąź, zadrżała, — zatrzeszczała i oderwała się od macierzystego pnia.



Dzieci  
ikonarzniki  
nęły pod powierzchnią stawu!

## Część II.

### Rozdział XIII.

Po przybyciu do Londynu pan Edward udał się do klubu. Po drodze spotkał znajomych, z którymi zawrócił do Heyde Parku. Tam pewien czas przypatrywali się przejeżdżającym powozom, lecz upał dokuczał nieznośnie, więc baronet pożegnał przyjaciół i zwrócił się ku domowi.

W drodze myślał o delikatnym zdrowiu Milusia. Z niepokojem stawiał sobie pytanie, czy wątłe dziecko wychowa się w surowym angielskim klimacie? Może lepiej wywieźć go zimą na południe? Trzeba lekarza powołać do zbadania płuc ukochanej dzieciny.

Tymczasem zbliżył się do stawów. Widok wody znów mu przypomniał, co było przyczyną choroby Milusia a równocześnie przyszło mu na myśl, że zostawił chłopców w pobliżu wody, która miała tak nieprzemyślany urok dla Henia.



Chwilę rozważał, czy było rozsądnie, wystawiać dziecko na pokusę: staw leżał kilkaset metrów od pola. Ale prędko przyszło uspokojenie: sam powiedział Wirginii, by natychmiast poszła do dzieci. — W jaki kwadrans najdalej była z niemi. Zresztą naokoło pełno uwijało się ludzi przy żniwach. Przytem dzieci zajęte były żniwiarką, — pewnie ani pomyślały o stawie, — gdyby nawet myśl taka powstała w głowie Henia, to pewnie odrzuciłby ją ze względu na braciszka.

Myśl raz zbudzona, wracała uparcie. Pan Edward dałby pół życia za czardziejskie zwierciadło, w którym widziałby co się dzieje w domu.

Gdyby życzeniom jego stało się zać, zobaczyłby Milusia i Henia siedzących na zmurszałym konarze.

Pogrążony w dumaniu nie spostrzegł, że niebo pełne chmur. Niebawem lunął rześisty deszcz; park opustoszał nieomal w jednej chwili.

Jak zwykle w takich razach nie można było dostać dorożki, — baronet musiał wracać pieszo.

Gdy zmoczony wchodził do domu, służący podał mu telegram. Rzucił na niego okiem, i wybiegł na ulicę. Szczęściem przejeżdżał samochód.

— Na kolej, — krzyknął, — zwracając się do szofera; — dam podwójną zapłatę, jeżeli na czas dojedziemy.

Pospiech i zamieszanie bywają użyteczne w niektórych wypadkach. — Rozrywając myśl, i nie pozwalając jej zagłębiać się w cierpieniu, ścierają niejako ostrze pierwszych bolesnych chwil.

Pan Edward rozejrzał się w położeniu, gdy siedział w wagonie pociągu, unoszącym go szybko do Wareham.

Przedtem myślał jedynie o tem, czy na czas dojedzie na stację.

Niecierpliwil się każdym zwolnieniem tempa, — kłął, gdy automobil raz stanął — cała jego wola, całe pragnienie skoncentrowało się w pytaniu:

— Dojadę? Czy nie dojadę?

Wreszcie siedział w wagonie i po raz setny odczytywał depeszę.

Nie wiele mówiła, — jak zwykle takie wiadomości: nie zabierała nadziei, ale zostawiała wyobraźni szerokie pole. Zawierała kilka słów:

Przypadek. Panicze wpadli do stawu. Obaj żywi. Przyjechać natychmiast.

Ktokolwiek odebrał wieść nagłą i na próżno starał się wydostać z niej więcej szczegółów, ten zrozumie mękę pana Edwarda.

— Czy to tylko część prawdy? Co mi ukrywają?

Może chcą mnie powoli przygotować? Ale nie — nie kłamałoby przecie. — Obaż żywi. Więc czemu mnie wzywają? Czemu mam natychmiast przyjeżdżać? Naturalnie, stan Milusia musi być groźny, — może beznadziejny.

Proste zamaczanie we wodzie nie zaszkodziłoby Heniowi, — więc naturalnie chodzi o Milusia.

I nie mógł oderwać myśli od ukochanej dzieciny, tak wątłej i osłabionej ostatnią chorobą.

Pomimo wrodzonego poczucia sprawiedliwości, oskarżał wszystko i wszystkich.

Czego szukał nad stawem? — pytał? — Tyle razy zakazywałem mu; obiecywał posłuszeństwo, a jednak...

Czuł, że nigdy chłopcu nie daruje tak jawnego oporu woli ojcowskiej.

Zdrowie, życie Milusia ciągle jest zagrożone przez lekkomyślność Henia.

Lekkomyslność!

Raczej trzeba było powiedzieć upór. Był dotychczas zbyt pobłażliwym. Trzeba przedsięwziąć inne środki pedagogiczne: chłopiec musi bezwarunkowo słuchać rozkazów. Był słaby, od dziś zmieni spo-

sób postępowania. Żadna kara nie jest za surową dla Henia, — ukarze go przykładnie.

A potem pomyślał, że może za wiele żąda od tak małego stworzenia, i począł innych oskarżać. Gdzie była Wirginia? Czemu nie dopilnowała dzieci?

Miał żal nawet do żniwiarzy i do maszyny. Tylu ludzi, a nie znalazł się nikt, ktoby zatrzymał malców!

Ale mimo wszystko, głównym winowajcą był Henio, — i nie powinien go oszczędzać, i zwać odpowiedzialności na innych.

Na stacyi nie było powozu, — i nikt nie mógł mu udzielić informacji, co do wypadku. Wiedziano, że dzieci wpadły do wody, ale żadne nie utonęło.

Kazał sprowadzić dorożkę, ale niepokój wypędził go, zanim nadjechała. Im bliżej był domu, tem więcej przyspieszał kroku. Prawie biegł przez pole. U bramy nikogo. Przede dworem dziwna cisza, drzwi do sieni były otwarte. Przeskakiwał po kilka schodów naraz, — wpadł do dzieciennego pokoju. — Nikogo — ani szmeru, ani głosu.

Zawołał.

Nikt nie odpowiedział.

Krzyknął znowu: — Jest tam kto?

Głos silnie rozległ się po pustych korytarzach. Gwałtownie nacisnął dzwonek i nie czekając znów zbiegł na dół i pchnął drzwi biblioteki.

Gwar zmieszanych głosów wpadł mu do ucha. Zobaczył tłum ludzi, lecz nie rozpoznawał nikogo. — Wtem mała postać podbiegła ku niemu z wyciągniętymi rękoma. Radośnie przytulił do serca Milusia. Wszystkie obawy i niepokoje zniknęły wobec faktu, że trzymał w objęciach ukochaną dziecinę żywą i zdrową. Z uniesieniem całował rączki i twarzyczkę, — i tak był zajęty odzyskanym skarbem, że nie zauważył, jak głucho milczenie zapadło w bibliotece.

Wreszcie zwrócił się do Joasi:

— A gdzie jest starszy panicz?

Nikt nie odpowiedział.

— Gdzie starszy panicz? — powtórzył baronet.



— Zakazali mi mówić, — zaczął Miluś, ale ojciec nie słyszał. Patrzył na ogrodniczkę i chłopak musiał odpowiedzieć:

— Tam zanieśliśmy panicza, — rzekł, wskazując na drzwi saloniku.

— Tam? — powtórzył zdziwiony baronet.

— Bo trzeba go było ułożyć jak najprędzej, a w salonie są kanapy.

Zanim skończył, baronet już był w salonie. Przez otwarte okiennice lało się światło, ujrzał Wirginię pochyloną nad kanapą, — obok stało kilku ze służby. Doktor podszedł do wchodzącego, ale pan Edward odtrącił go, przerażony widokiem, jaki go niespodzianie uderzył: pod portretem żony leżał bez ruchu prawdopodobnie bez życia chłopczyk, dla którego żadna kara nie byłaby za surową.



## Rozdział XIV.

Nikt nie zasłużył na naganą.

Na krzyk dzieci żniwiarze rzucili się na ratunek. Wirginia posłała niezwłocznie po lekarza, każdy zrobił, co mógł: cała wina spadała na biedną małą ofiarę.

— Na razie trudno orzec coś pewnego, — mówił doktor, — ale to pewno, że wewnętrzne uszkodzenia są ciężkie.

U Milusia skończyło się na kąpieli, ale Henia łamiąca się gałąź pociągnęła głęboko w wodę, gdzie uderzył się o pień i korzenie. Doktor przypuszczał, że kość paclerzowa jest nadwyreżona. Prosił o zwołanie innych lekarzy, nie chciał brać na siebie całej odpowiedzialności. Natychmiast wysłano człowieka z depezbami do najslawniejszych specjalistów londyńskich.

Nieszczęście przyszło tak nagle, tak nieprzewidzianie. Pan Edward nie mógł się połapać, zasypywał doktora pytaniami, nie czekając na odpowiedź stawiał nowe, w duchu oskarżał staruszka o niewiomość. A tamten, który go znał od dziec-

ka, patrzył ze współczuciem na ból ojca, i szukał odpowiednich wyrazów, by mu powiedzieć, że jeżeli chłopczyk nie umrze, to zostanie kaleką!

Henio kaleką! Henio pozbawiony władzy w nóżkach!

Pan Edward nie mógł pojąć, nie mógł zebrać myśli, nie był nawet w stanie rozumieć słów doktora, który dobierał wyrazów na odsłonięcie strasznej prawdy!

— Na miłość boską, tłumacz się pan wyraźniej! Chce pan powiedzieć, że to dziecko, które nigdy nie umiało spokojnie siedzieć, ma być skazane na bezwładne leżenie! Więc nigdy nie wyzdrowieje?

— Nigdy, baronecie! nigdy, — rzekł smutnie lekarz.

-----  
Jeszcze nie rozumiał.

Niby ciężka mgła zawisła nad jego myślami. Poszedł do ogrodu, by zdać sobie sprawę z doniosłości słów doktora, chciał pozostać z niemi sam na sam; zmusić się do spojrzenia w oczy rzeczywistości.

Nigdy nie wyzdrowieje, — powtarzał sobie, — nigdy.

Proste, nieskomplikowane wyrazy brzmiały w uszach nieszczęśliwego ojca, jak puste, pozbawione znaczenia dźwięki.

Powtarzał je i powtarzał, jakby chcąc odkryć ukryty sens.

Nigdy nie wyzdrowieje!

Co doktor chciał przez to powiedzieć?

Że jego chłopczyk, żywy jak iskra będzie całe życie przykuty do krzesła, na zawsze odcięty od wszystkiego, co ubarwiało mu istnienie ...

To chciał powiedzieć.

Chciał powiedzieć, teraz każde słowo nabierało znaczenia, chciał powiedzieć, że co było, już nie wróci, że skończyło się wszystko, co dla dziecka stanowiło pojęcie radości i szczęścia, że zniknęło to, co zdało się być jedyną podstawą i celem jego istnienia, a udziałem jego miało być życie gorsze od samej śmierci.

Bo cóż za znaczenie miał dla syna wyraz »życie«. Władze, których pozbawiał go nieszczęśliwy wypadek, były tem, dla czego żył i istniał. Co zostanie po ich stracie? Czem miało być jego życie? Łupiną, z której wyjęto owoc, pudełkiem z którego usunięto klejnot.

Pan Edward nie był człowiekiem światowym, nie myślał o zwichniętej przyszłości, o zamkniętej karierze. Nie widział że chłopcu zamknięto wszelkie ścieżki, prowadzące na świetne wyżyny, że los wyklucza go od wszystkiego, o czem

marzy młodzieniec, czem się cieszy mężczyzna. Nie takie obawy zorały czoło biednemu ojcu.

Nie!

Myśl o ruchliwej postaci, przykutej do fotelu.... Wyobraża sobie, że ogrody i trawniki nie będą brzmiały wesołym śmiechem dziecka, czynne członki nie będą się ruszały, a wlecznie zajętym rączkom zabraknie sił. I jedno słowo wybiegło mu na usta:

— To niemożliwe!

Są chwile, w których odczuwamy nieomal podwójnie. Może nigdy przedtem pan Edward nie zauważył tak wyraźnie nieskończonego ruchu w przyrodzie. Każdy listek drżał pod podmuchem najłżejszego wiatru, każde źdźbło chyliło się i tańczyło, gałązki falowały, chwiały się kwiaty, nawet woda w kanale biegła i podskakiwała na kamieniach.

A cóż dopiero zwierzęta, ptaki, owady!

Dwa jagniątka przebiegły mu koło nóg w wesołej gonitwie, mały królik wyjrzał z pod krzaczka i pędem zniknął w zielonej trawie.

Nigdy powietrze nie było tak pełne motyli, muszek i chrząszczyków. Pszczoły

spieszyły z kwiatka na kwiatek, ptaki przelatywały z gałęzi na gałąź, komary dzwoniły niestrudżonem skrzydłem; a Henio najżywsze i najpiękniejsze stworzenie w przyrodzie, miał być wykluczony z ogólnego ruchu?

Od najpierwszych lat dziecko nie umiało siedzieć spokojnie. Od rana do wieczora Henio biegał bezustannie nigdy nie zmęczony, zdawałoby się, że ten ciągły ruch był jedynym jego celem. Ledwie umiał stać o własnych siłach, już wyrывał się piastunce i niezrażony nieudatnymi wysiłkami, próbował stawiać kroki. Matka rozplywała się z radości na widok malca. A gdy pan Edward uprzytomniał sobie, jak dumną była z syna, z jakim zachwytem śledziła każdy objaw jego samodzielności, pochylał głowę i dziękował Bogu, że nie dożyła dnia dzisiejszego.

Czy chłopczyk kiedykolwiek chodził? Przecież zawsze biegał i skakał!

Pan Edward nie widywał go inaczej, jak goniącego wesoło, przeskakującego każdą przeszkodę.

Znów stanęła mu w oczach drobna postać przygwożdżona do fotelu. I w gorczy zawołał nieomal głośno:

— Ma żyć z podciętemi skrzydłami, Boże! niech umrze lepiej.

Zawrócił do domu.

U progu spotkała go drżąca Wirginia i oznajmiła, że Henio odzyskał przytomność i przemówił.

Pobiegł do pokoju, lecz wstrzymał go doktor.

— Niech pan nie wchodził, — rzekł, przysmykając drzwi, — dziecko boi się, że je pan wyłaje, i myśl o panu, widocznie je podnieca.

— Czy zdaje sobie sprawę z wypadku?

— Sądzę, że tak. — Z początku nie rozumiał, czemu leży w pokoju, ale stopniowo przypomniał sobie co się stało. Niepokój ogarnął go w chwili, kiedy mu przyszedł na myśl wypadek, i kilka razy pytał o Milusia. Bał się zobaczyć pana. Czy pan pojmuje związek?

— Owszem. Kilka razy lajałem go za namawianie Milusia do nieposłuszeństwa — surowo wzbraniałem wyprawy nad staw. Pan wie, że Miluś łatwo się przeziębiał i że trzeba bardzo na niego uważać.

Baronet tłumaczył się jak obwiniony.

— Naturalnie, powtórzył doktor, — nie można go narażać na niebezpieczeństwo. — Rad jestem, że mu kąpiel nie zaszkodziła. Nasz mały pacjent zupełnie inną ma konstytucję, — nie widziałem zdrowszego i silniejszego chłopczyka. Natural-

nie — dodał z westchnieniem — najsilniejszy organizm nie broni od przypadkowych uszkodzeń. Czy można powiedzieć Henlowi, że nie ma się niczego obawiać?

Baronet skinął głową i doktor wrócił do pokoju chorego.

Ojciec nerwowo chodził tam i napowrót, aż otworzono drzwi, i doktor dał mu znak, by wszedł.

Pokój był prawie ciemny, na białej poduszce niewyraźnie odcinała się kędzierzawa główka, i mała, spalona rączka wyciągnęła się ku wchodzącemu.

— Papo, — rzekł prawie szeptem chłopczyk, — wszystko dobrze się skończyło. Milusiowi nic nie jest, — nawet się nie ziębił. Cieszę się, że to ja jestem chory, a nie on.

— Mój drogi synku...

— Papa się nie gniewa? Żal mi, że się wdrapał na drzewo, — już tego nigdy nie zrobię. Niech papa powie, że się nie gniewa.

— Nie, dziecko, nie gniewam się, ale mi przykro, żeś chory.

— Czy jestem bardzo chory? Coś mi szumło w głowie. Czy to prędko przejdzie?

— Myślę, że prędko. Jutro przyjdzie kilku panów. Pewnie cię uzdrowią.

— Będę zdrow na dożynki? Kiedy to będzie? — Papa obiecał, że na przyszły tydzień oznaczy dzień. — Więc kiedy?

— Nie wiem... nie wiem jaki dzień oznaczyć, mój chłopcze.

— Zboże tak prędko zżęli. — Cały dzień pracowali, muszą prędko skończyć. — Może we wtorek urządzimy zabawę?

Odpowiedzi nie było. Słowa więzły w gardle nieszczęśliwego ojca.

— Więc sprawa ubita. — Czy już na wtorek będę zdrow? — Mam tańczyć z Dolly.

A przed oczyma baroneta staje spalizowana postać, przykuta na zawsze do fotelu. Tańczyć! Jak mu powiedzieć? Jak go przygotować? I to on sam, ojciec, musi mu objawić prawdę! Musi mu oznajmić, iż młode życie zważył nielitościwy sron.

— Papa nie odpowiada. Kiedy będę zdrow?

Ojciec nie miał sił przemówić. Całował bladą twarzyczkę, i po chwili wykrztusił:

— Da Bóg, niedługo wrócisz do zdrowia.

— Nie będę mógł długo leżeć. Gdybym się nie czuł strasznie zmęczonym, wstałbym natychmiast.

— Jesteś bardzo zmęczony?

— O tak, — westchnął, — i plecy mnie bolą i głowa. Tak coś szumi, aż w oczach ćmi, i spać mi się chce.

— Może uśniesz?

— Dobrze, — szepnęło dziecko, przy-  
mykając powieki, a jutro wstanę zdrów.

— Dobry znak — rzekł pan Edward do  
doktora. A że doktor milczał, poszedł do  
Milusia. Malec patrzył przez okno, nucąc pół-  
głosem dziecienną piosenkę. Joasia, z zapuch-  
niętymi od płaczu oczyma szyla przy stole

— Co robisz, Milusiu?

— Tak mi nudno samemu. Kiedy He-  
nio przyjdzie?

— Niedługo.

— Czy Henio będzie całą noc spał  
na dole?

— Tak.

— To pójdę i powiem mu dobranoc.

— Nie, dziś nie trzeba go budzić.

Błękitne oczęta napęłniły się łzami.

— Nie usnę, jeżeli nie uściskam Henia.

— Nie płacz, dziecko, — zawołał stros-  
kany ojciec. Był od kilku godzin na tor-  
turach, i czuł, że mu nerwy wypowiadają  
posłuszeństwo. Próbował sprowadzić roz-  
mowę na inny temat.

— Powiedz mi, coś śpiewał przed chwilą?

— O Humpty-Dumpty.<sup>1)</sup>

<sup>1)</sup> Porównaj uwagę na str. 98.

— Co, co to było? — Humpty-Dum-  
pty był jajem, nieprawda?

— Ten pan, który u nas był, mówił,  
że Humpty-Dumpty to nasz Henio. Czy to  
prawda, papo?

— Nie, dzieciно, jakżeż Henio mógłby  
być jajem?

— Ale coś jest prawdziwe: Humpty-  
Dumpty spadł i zbił się.

— Tak, to prawda.

— A co potem, papo? Chciałbym wie-  
dzieć koniec, i nie pamiętam.

Czemu pan Edward postawił synka  
na ziemię, czemu głos mu drżał, gdy po-  
wtarzał słowa dziecienną zagadki?

Przecież to tylko piosenka, którą pias-  
tunki nuca maleństwowom.

A Miluś powtórzył:

Posłał król damy, rycerzy i karety.

Już stłuczonej skorupki nikt nie zlepi,

[niestety!

— Papo, to bar-  
dzo niemądre!

— Z pewnością,  
dziecko, to bardzo  
niemądre.

Proste słowa dzie-  
cinnej zagadki prze-  
szywały serce biednego ojca. Tak! Już  
stłuczonej skorupki nikt nie zlepi. Niestety!





## Rozdział XV. 15

Noc była niespokojna.

Henio zapadał w ciężki sen, to znów zrywał się w gorączce.

Zaraz nazajutrz zapytał o Milusia. Potem chciał wiedzieć, kiedy przyjadą panowie, którzy go prędko uzdrowią.

Powiedziano mu, że przyjadą południowym pociągiem, a ojciec poszedł po Milusia, prosząc, by nie mówił za wiele i nie siedział za długo przy chorym.

Milusi wszedł trochę onieśmielony mrokiem panującym w pokoju.

— Heniu, — zawołał, — wstańże już. Czemu leżysz tak długo? I tak blade wyglądasz!

— Jestem chory, Milusiu, — odpowiedział żałośnie.

— Nie trzeba być chorym.

— Ty nieraz chorujesz, — czemu i ja nie mam być czasem chory?

— Bo tak smutno, kiedy cię niema, — rzekło dziecko, a łzy zaperliły mu się w oczach. — Czemu wpadliśmy do wody

W tej chwili odwołano pana Edwarda bo londyńscy lekarze przyjechali ze stacyi.

Zaprowadził ich do biblioteki, gdzie z domowym lekarzem mieli się porozumieć co do wypadku, poczem wrócił, by chorego przysposobić na odwiedziny nowoprzybyłych.

Z przerażeniem usłyszał głośny okrzyk Henia, równocześnie wybiegł z pokoju Milusi, blady i przerażony:

— Papo, papo, proszę przyjść, Henio płacze, i chce, żeby papa zaraz przyszedł.

— Co mu się stało?

— Nie wiem. — Zaczął płakać i krzyczeć, jak się go zapytałem...

— O co, Milusiu?

— Powiedziałem, że Wirginia komuś mówiła, że całe życie będzie kaleką, i zapytałem się, co to znaczy.

Całą noc rozmyślał pan Edward, w jaką formę ubrać fatalną wiadomość.

Odrzucał wszystko, jak mdły frazes, który nie jest w stanie osłonić strasznej prawdy. — Słowa były zimne, puste, — żadne nie wyrażało tego, co chciał powiedzieć, żadne nie oddawało miłości, współczucia, które przepelniały serce ojcowskie.

A tymczasem okrutny cios padł bez przygotowania, bez osłonek!

Serca mu zabrakło, czuł, że nie może patrzeć na chłopca, że nie wytrzyma jego pytającego spojrzenia, że nie potrafi potwierdzić, co usłyszał z ust braciszka. Lecz nie było czasu na rozmysły. — Henio wzywał go rozpaczliwym głosem, i poszedł prawie nieprzytomny do syna.

— Papo, — zawołało dziecko, — a któż wyrazi przerażenie i bolesne pytanie brzmiące w jego głosie, — to nieprawda, co? Proszę prędko powiedzieć, że to nieprawda!

Słowa pieszczoty i pociechy zamarły na ustach ojca, — ból związał mu język.

— Ona zawsze mówi przykre rzeczy, — szlochało dziecko, tuląc się do niego, — to brzydko, nieprawda? — Papa nie odpowiada? — Czemu papa nic nie mówi, że Wirginia kłamie?

I przestрах chwycił go, głos mu się łamał, a drżące rączki silnie cisnęły ojcowskie ramię.

— Niech papa powie, czemu papa nic nie mówi.

— Moje biedne dziecko, mój drogi chłopczyku.

— Niech papa podnieś głowę, — chcę papie w twarz spojrzeć.

W rysach zrozpaczonego ojca było coś, co odkryło prawdę. Wiedział już zanim usłyszał przerwane łkaniem słowa:

— A jeżeli mówiła prawdę, to co?

— To co?

Zmęczony umysł nie przywiązywał znaczenia do słów, nie pojmował co w nich leży.

Serce waliło jak młotem, suche usta chciały o coś zapytać, Henio walczył ostatkiem sił z ogarniającą niemocą, natężał każdy nerw, by znaleźć odpowiedź na pytanie.

Napróżno!

Każdy puls w rozbolełej głowie zdawał się chwytać owe słowa, i walić nimi, niby młotem w zmęczony mózg, tysiąc głosów odezwowało się naokół, a wszystko krzyczało:

— To co? To co?

Lecz na pytanie nie było odpowiedzi, bo Henio zemdlął.

— — — — —  
Pan Edward pobiegł po lekarzy, — użyto wszelkich środków, by przywołać dziecko do przytomności. Powoli odzyskiwał zmysły. Chodziło o to, by nie przypomniał sobie od razu, co go przerażyło, lekarze prosili więc baroneta, by się usunął, a sami stanęli przy posłaniu chorego, tak, by jego oczy najprzód na nich padły.

Henio nie zdawał sobie jasno sprawy z tego, co się przed chwilą stało, — ale czuł, że coś wie, przed czem całe jego jestwo się wzdryga.

I ludzie dorośli nieraz budzą się z niejasnym poczuciem jakiegoś zmartwienia, które nimi zawiadnęło, zanim usnęli, — intuicyjnie czują, że coś się stało, ale nie pamiętają co, — i pomimo, że silą się na przypomnienie, to jednak boją się pełnej świadomości; instynktownie nie chcą stracić chwilowego spokoju, w który pogrążyło ich zapomnienie.

Henio długo pozostawałby w biernym stanie, gdyby jeden z lekarzy nie położył mu ręki na czole. Chłopiec otworzył oczy. Zamknął je natychmiast, — i nie zważał na lekarzy, którzy usiłowali rozpocząć rozmowę.

W owej sekundzie spojrzenie dziecka ogarnęło portret matki, i natychmiast myśli uleciały nie ku wspomnieniom, których lękali się doktorzy, lecz ku innym, niemniej bolesnym. Wyobraźnia uprowadzała chorego: Jest sam, zupełnie sam w pustym pokoju, — w zamkniętym, niezamieszkałym domu. Zmrok zapada, — milczenie i pustka wokoło. Na górze Miluś umiera. Może już umarł. Nikt jemu, Heniowi, nie pomoże, — nikt go nie żałuje. I poczucie zaniedbania i sa-

motności ogarnia duszę dziecka, pierś mu drży, a wargi szepcą:

— Mamo, wróć! wszyscy się na mnie gniewają, — i tak mi strasznie źle!

Ani odpowiedzi, ani dźwięku.

— Mamo! — weź mnie na ręce! — Połóż mą głowę na ramieniu!

Ani słowa.

Przecież to tylko — portret.

— — — — —  
— Nigdy nie będę się bawił z Milu-  
siem! Ani na schodach, ani na korytarzach.  
Nigdy, już nigdy! Bo Miluś umiera, —  
może już umarł! Dziecko na portrecie  
uśmiecha się wesoło! Czy to może być  
Henio! Szczęśliwe dziecko! zawsze przy  
matce, zawsze w jej ramionach z główką  
przytuloną do niej! — Gdyby mógł wejść  
w ramy, na miejsce dziecka i zawsze już  
zostać. — Jakby się do niej dostać? —  
Mama jest w niebie. Zanim tam poszła,  
chorowała i umarła. Czemu i Henio nie  
miałby chorować i umrzeć! Miluś umiera,  
— mama umarła, i on chciałby umrzeć.  
Ale napróżno. Henio nigdy nie choruje,  
nawet się nie przeziębia. — Miluś zazię-  
bił się przy stawie, — przy stawie, gdzie  
rosną lilie wodne. Tak, tam było cicho,  
tak chłodno! Śliczne lilie tańczyły na wo-

dzie, — jakiś ptak śpiewał, — i ryba pluskała...

— Chodź, Milusiu, tu zupełnie bezpiecznie..... — Stój! Miluś umiera, — nie może przyjść. — Miluś wszedł do pokoju i mówił — o nim? — o żórawiu — prawda? — O biednym, chromym żórawiu...

Miluś umiera. — Jak mógł tu wejść?

Hop.. hop.. — to żóraw idzie.. Biedaczyna! Co to Miluś mówił o żórawiu? — Kaleka! Nie — tak się nie nazywa. — Wołamy na niego Jack. — Kaleka znaczy... I znowu idzie żóraw. Hop — hop — idzie, kulawy. — Nigdy nie będzie mógł latać! — Biedny stary żóraw! Czy to prawda, że nigdy już nie będzie mógł latać? Nie, to nie prawda.

Ale — przypuśćmy, że to prawda, to co?

— Kaleka! — Kto mnie pyta, co znaczy kaleka?

Bezwładny znaczy żóraw.

Nie, — to znaczy kulawy.

Nie, — to znaczy kaleka.

Chwilowe majaczenie przeszło, — nieznaną strach przybrał uchwytą postać, i pamięć napada ofiarę.

Teraz rozumie.

Lecz nadzieja, — ostatni dar, za który człowiek nieszczęśliwy chwytą, próbuje

walczyć z rzeczywistością: Nie, nie, tylko nie to! Tylko nie to!

Coś uderza go w serce i zabija nadzieję. Coś bije jak młotem i kurczy myśli — i zostawia dziwne uczucie.

Henio zapada w dół.

I znów wie, że to jest prawda, — i zarazem uświadamia sobie, co owa prawda znaczy.

Jak błyskawica rozjaśniła nagle drogę nocnego wędrowca i pokazuje mu na chwilę okolice, — tak sekunda przytomności oświetliła całą przyszłość dziecka, pokazała mu nędzę kalectwa i codzienny krzyż, od którego nic uwolnić nie zdoła.

Co za chwila dla bujnej natury Henia! W szalonym tempie myśl gonila myśl, — obrazy następowały po sobie jak w kalejdoskopie, — wreszcie wszystko znikło i dziecko widziało wyraźnie żórawia, skaczącego na jednej nodze i małego, kulawego Toma.

I znów Henio rzucił się z przerażenia i zdławiony okrzyk przerwał ciszę.

— Spokojnie mój drogi! Uderzysz się. Chłopczyk tuli się do ojca.

— To wszystko jedno, — to wszystko jedno. — Niech się uderzę. — Chcę umrzeć, papo! Nie chcę już żyć.

Na widok lekarzy ogarnia go szal,  
i znów chwyta ojca zrozpaczonym ruchem.



— Nie, nie. Odeślij  
ich, papo! Nie wolno  
mnie badać! Nie wolno  
mnie dotknąć. Będą się  
starali mnie uzdrowić  
a ja nie chcę. — Nie  
chcę żyć.

Lekarze wyszli, by  
nie drażnić chorego, — a ojciec troskli-  
wie ułożył go na pościeli.

Słodka twarz na portrecie wywiera  
dawny wpływ na zboliałe dziecko.

— Papo, — błaga szeptem, — niech ja  
już umrę. Przrzeknij, że nie pozwolisz mnie  
leczyć.

Zdumiony i wzruszony pan Edward  
nie mógł odpowiedzieć. Wyobrażał sobie,  
że myśl o śmierci przerazi lekkomyślne  
stworzenie, za jakie miał syna, — i zdzi-  
wił się niepomału usłyszanemi słowami.

— Papa obieca, nieprawda? Ja nie  
mógłbym tak żyć. — Chcę odejść i żyć  
z mamusią w niebie. — Niech papa pa-  
trzy, — mówił, wskazując na portret, — jaki  
szczęśliwy byłem, kiedy mnie na rękę  
trzymała! Chciałbym znów do niej wrócić.  
— Raz w nocy, kiedy Miluś był chory,  
a ja jeszcze nie wiedziałem, że już nigdy

nie będę mógł chodzić ani biegać, wtedy  
chciałem zachorować i umrzeć i iść do  
niej, — a teraz chcę koniecznie ją zoba-  
czyć. Myślałem, że nigdy nie zachoruję,  
bom taki zdrow i silny. A jednak zacho-  
rowałem! Papo, niech już umrę! Papa  
obieca, że mnie nie będą leczyli. — Nie  
chcę żyć kaleką.

Trzy razy chciał ojciec odpowiedzieć,  
i trzy razy zawiódł go głos. Z trudem  
wykrztusił jakiś wyraz, który dziecko wzięło  
za obietnicę.

A było coś w słowach syna, czego  
zupełnie nie rozumiał. Zwłaszcza wspo-  
mnienie co do portretu matki wprowało go  
w zdumienie. Nie przypuszczał, że dziecko  
kiedykolwiek dotarło do pokoju, zamknię-  
tego z jego rozkazu, — nie myślał, że  
dziecko pamiętało o istnieniu obrazu.

I kładąc rękę na rozpalonem czole  
syna, zapytał:

— Skąd wiesz, że to twoja mama?

W oczach dziecka odmalowało się bez-  
graniczne zdziwienie, — pan Edward nieomal  
uczul niemą naganę. W tej chwili we-  
szli znów lekarze. — Henio nie opierał  
się tym razem, — zbadali go starannie.

Domowy doktor został przy chorym,  
a baronet poszedł z londyńskimi znako-

mitościami do biblioteki, by wysłuchać wyroku.

Sam nie wiedział czego pragnąć. Przerażenie ogarnęło go teraz na myśl, że silna konstytucya dziecka przemoże chorobę. A jednak, gdy doktorzy oświadczyli, że syn jego jest stracony, coś mu krzyknęło w sercu: Wszystko zniósę, tylko nie to, nie to!

— Czy stan potrwa długo?

— Nie bardzo.

— Czy dziecko będzie cierpiało?

— Miejmy nadzieję, że nie.

Podali mu ręce i odeszli.

Odprowadził ich do drzwi i czekał, aż powóz zajedzie.

Dzień był gorący i cichy, zdawało się, że przyroda czeka w skupieniu na wyrok powag lekarskich. — Gdy wsiedli do po-

wozu za-  
wiał wie-  
tryk i poru-  
szył drzewa  
i krzewy, któ-

re zaszumiały, zmartwione, i oznajmiły żalosną nowinę łąkom i polom.

A pan Edward patrzył za odjeżdżającymi: wielcy, uczeni mężowie, z całą mądrością i wiedzą nie mogli pomódz jego chłopczyńie!

## Rozdział XVI.

Pan Edward poszedł pisać listy.

Chciał wezwać kogoś, któryby mu pomógł w niesieniu krzyża.

Ale stara matka już nie opuszczała domu, siostra nie umiała pielęgnować chorych. Szwagier najlepiej by go pocieszył, lecz baronet wiedział, że wybiera się w dłuższą podróż do Indyi, i że zajęty przygotowaniami spędza czas między Portsmouth i Londynem. Ponieważ jednak Wareham leżało po drodze, więc baronet napisał do szwagra z prośbą, by, o ile może, wstąpił choć na jeden dzień. Po napisaniu listu poszedł do pokoju dzieci.

Milus spał, jak zwykle po obiedzie, Joasia szyła przy stole.

Pan Edward pochylił się, by pocałować synka, który leżał, przyciskając do siebie kilka suchych kłosów. Kiedy usta ojca dotknęły czołka, drgnął, i szepnął przez sen:

— Heniu.

— Co on trzyma w rączkach, — spytał pan Edward.

— Kilka kłosów, — odpowiedziała Joasia, — przyniósł je panicz Henio, i nie pozwalał ruszać. Miluś mówił, że znalazł je w kącie za komodą, że zapewne Henio o nich zapomniał, bo mieli je razem posadzić w ogrodzie na słońcu.

Baronet nie odpowiedział, ale po raz wtóry ucałował synka.

— Proszę go nie budzić, niech śpi — przykazał.

Gdy schodził, przypomniał sobie rozmowę dzieci owego niedzielnego popołudnia i mimowoli porównywał młode kłosa i młode życie, tak nielitościwie wyrwane z korzeniem.

Na dole spotkał doktora. Krótko powtórzył słowa londyńskich lekarzy, i prosił, by je oznajmił domownikom. Nie chciał okazać się słabym wobec służby, a czuł, że zadanie przechodzi jego sły.

Henio leżał w głębokim śnie, a przed oczyma ojca znów żywo stanęła owa scena na polu. Widział i słyszał wszystko z zadziwiającą dokładnością. Gdziekolwiek spojrzął, widział Henia, siedzącego na bramie z pękiem wyrwanych kłosów w opalonych rączkach, a Miluś patrzył ku bratu strapiiony.

Pan Edward zdenerwowany począł chodzić po pokoju. Ale dziecięce szczebiotanie nie milkło mu w uszach.

Nic nie szkodzi, Milusiu, dzwonił donośnie ten sam głos, który teraz z trudem szepotał, posadzę je w najśłoneczniejszym zakątku naszego ogrodu, gdzie ziemia jest żywniejsza, niż tutaj, i gdzie lepiej podrosną, niż gdyby miały dojrzewać z innymi. Może mi jeszcze podziękują, że je wyrwałem z pola i posadziłem w ładniejszym miejscu.

Zamiast bólu, biedny ojciec powinienby znaleźć ukojenie w słowach syna. Czyż dziecko nie podziękuje Bogu, że wyrwał je z ziemi, by przesadzić na rajskie pola, gdzie w słonecznym blasku Jego łaski, dojrzeje do doskonałości nieznannej na tym świecie?

Bo natury jak Henio nie są stworzone dla tego życia. Znadto odczuwają przykrości a specjalny dar radowania się i cieszenia rozwinąć się tylko może po tamtej stronie istnienia, gdzie niema już łez i bólu.

Podczas następnych dni chory rzadko był przytomny. Albo spał, albo majaczył. To rozmawiał z matką, to wzywał Milusia, to wreszcie powtarzał słowa bez związku.

Ile razy zdawał sobie sprawę z obecności ojca, skarżył się na dziwny hałas w głowie, i pytał, co znaczy szmer i śpiew w uszach, lecz zanim ojciec zdołał odpowiedzieć,

już gorączka mroczyła mu umysł, i nie rozumiał, co się koło niego działo.

Pan Edward nie opuszczał chorego, i godzinami myślał o słowach dziecka co do portretu matki i o owem zdziwionem spojrzeniu, jakim Henio odpowiedział na jego pytanie.

I nieraz zdumiewały go zdania mającego dziecka, i chciałby wiedzieć więcej szczegółów. Pewnej nocy Henio zupełnie przytomny podniósł głowę.

— O czem myślisz, mój drogi?

— O mamie, — odrzekł słabym głosem. — Kiedy po mnie przyjdzie?

Zanim jednak ojciec mógł odpowiedzieć, osłabienie wzięło górę i dziecko usnęło.

Pan Edward mało znał chłopca, a raczej znał go z jednej tylko strony, więc słowa syna, jego tęsknota do matki i pragnienie śmierci, były mu wielką zagadką. Nie przypuszczał, że Henio był zdolny do odczuwania czegoś poza przyjemnością obecnej chwili. Nic innego nie było w stanie wyrzucić stałego wrażenia na powierzchownym umyśle!

A jednak.....

W tydzień po śmierci matki biegał i skakał jakby nic nie zaszło. Nigdy jej nie wspominał, nigdy jej imię nie wybiegło mu na usta!

A dziś mówił o niej, jakby mu nigdy nie schodziła z pamięci, i patrzył na śmierć ze spokojem filozofa.

Co to znaczy? kiedy zastanawiał się nad matką? Jak on, który tak radośnie cieszył się życiem, mógł chętnie wyrzec się wszystkiego?

Napróżno pan Edward szukał odpowiedzi na swe pytania.

Czy to tak trudno rozumieć duszę dziecka?

Bez wątpienia, — dziecko poddaje się wpływowi zewnętrznym: chwilowym smutkom i radościom, pozornie całkiem w nich się rozplywa.

Ale nie koniec na tem.

Rozmawiaj z dzieckiem a wnet usłyszysz zdania jak »kiedy dorosnę«, »kiedy będę dużym«, »jak będę starszym«.

Dziecko czegoś czeka, spodziewa się zmiany, chce być czemś innym, lepszym, doskonalszym, choć nie zdaje sobie z tego sprawy, i swe nadzieje zamyka w prostym »później, gdy będę, jak starsi«.

Nieokreślone światy, nieznanne przyjemności: to przyszłość dziecka. Nie wie na czem polega jej urok, ale wierzy, że za złotą bramą kryje się coś niezwykłego....., coś, co przyjść musi, i przyjdzie, »kiedy dorosnę«.



Świat dziecka pełen jest tajemnic. Rzeczy wieczne i niewidzialne są równie niezrozumiałe, jak rzeczy doczesne i widzialne. Gdzie wszystko jest cudem, tam nic nie jest dziwniejszem od innego, bo wszystko razem jest dziwne.

Tysiąc niewytłumaczonych zagadek otacza dziecko. Weźmy np. tajemnicę narodzin. Jak szybko oswaja się z faktem, że do rodziny przybył braciszek, czy siostrzyczka. A po kilku dniach epoka »zanim aniołek przyniósł Jasia czy Helenkę«, jest tak oddaloną, że prawie nie wspomina.

Jeżeli zaszedł w rodzinie wypadek śmierci, dziecko rzadko pyta o szczegóły, — lecz zadawała się ogólnem skonstatowaniem faktu: Pan Bóg zabrał ciocię, babcię, wujaszka. Mama bardzo płakała, i włożyła czarną suknię.

Dziecko wierzy bez zastrzeżeń, nie wątpi, nie rozumuje, — dla żywej jego wyobraźni niema rzeczy niemożliwych.

To też umysł jego jest dla dorosłych kopalnią niespodzianek.

Podobne myśli krążyły po głowie pana Edwarda, gdy siedział przy dziecku, i widział teraz, że Henio od początku do końca był niezrozumiany.

Kiedys Henio obudził się, przestraszony jakby złym snem i rzekł gwałtownie:

— Papo! wszak papa obiecał, że mnie nie wyleczą?

— Tak, ukochane dziecko!

— Myślałem, — nie, śniłem, że wyzdrowiałem, i....

— I co? — podchwycił pan Edward, drżąc z obawy, że jednak chęć życia powstała w duszy dziecka, i że żal odezwie się wkońcu i zmoże siły chorego.

— I — było strasznie, — rzekło dziecko, wstrząsając się!

Dziwne, jak nasze uczucia ulegają błyskawicznej zmianie! Biedny ojciec, prawie mimowoli zapytał:

— Byłoby strasznie rozstać się ze mną synku?

— Papa zapomina, czemu bym był?

— Starałbym się, abyś był szczęśliwy, rzekł serdecznie baronet. — Nigdy nie czułbyś...

Zamknął. W oczach dziecka paliła się jakaś myśl. Patrzył na portret matki.

Pan Edward sądził, że Henio nie słucha. Ale milczenie trwało kilka minut, potem chory przemówił:

— Myślę, że nie byłoby takie okropne, gdyby mama żyła. Całymi dniami siedział-

bym u niej na kolanach, jak dawniej  
Ale teraz..

— Siedziałbyś na moich kolanach, mój drogi.

— Na papy? Papa zawsze trzyma Milusia... Papa mnie nigdy nie wziął na ręce.

— Nie przypuszczałem, że tego chcesz.

— A ja bardzo chciałem, tylko wiedziałem, że papa woli Milusia.

— Moje dziecko, moje ukochane dziecko! I.. często... chciałeś?

— Nie tak bardzo często.... Dawniej, bardzo już dawno.

— Widzisz, ciebie równie chętnie pieściłbym jak Milusia. On taki mały. Czemu mówisz, że wolę jego niż ciebie?

— Tak myślę, papa zawsze się do niego uśmiecha i nazywa go najdroższem swem dzieckiem i tyle razy go całuje! O! wiele częściej niż mnie!

Ojciec miał ochotę błagać, by Henio milczał.

— Miluś jest malutki. Nie przypuszczałem, że jesteś o niego zazdrosny.

— Zazdrosny? Jakto? Zazdrosny znaczy niezadowolony, że inny ma coś, czego ja nie mam?

— Tak.

— To nigdy zazdrosny nie byłem, bo nigdy nie byłem niezadowolony. Biedny Miluś, nie pamiętał mamy, a ja pamiętam, więc słusznie, że go papa pieścił. Ale czasami..

— Co, dziecino?

— Tak mi strasznie brak było mamy, — rzekł Henio ze łzami w oczach. — Ale teraz, — dodał sennie, bo słabość znów go ogarniać zaczęła, — teraz pójdę do niej, albo Bóg przyśle ją po mnie.

I zamknął ciężkie powieki.

Pan Edward rozmyślał.

Wspominał słowa zmarłej żony, że Henio lubi pieszczoty tak samo jak Miluś. Myślał o trudnościach wychowania dzieci i o konieczności ciągłego z nimi przebywania, by poznać ich usposobienie.

Ileż stracili chłopcy przez śmierć matki! Ona takby ich doskonale rozumiała!

Nie wyrzucał sobie tego, co się stało; obowiązki męczyzny nie zamykają się w ciasnem kole domu i najbliższej rodziny. Ale zarazem czuł, że źle się stało. Zadowolony, że dzieciom na niczem nie zbywało, nie wnikał w ich duszyczki, i dopiero słowa konającego synka odkryły mu nieznaną tajemnicę.

I podziwiał szlachetną naturę, która cierpliwie znosiła, że darzono brata pieszczotami, i która odrzucała pewne uczucie

przykrości uwagą: »tamten nie pamięta matki, więc słusznie należy mu się miłość«.

Te same okoliczności mogłyby wywołać zazdrość, gniew i rozgoryczenie: bracia mogliby wyrosnąć z poczuciem wzajemnej nienawiści w sercu, a on nicby o tem nie wiedział.

Ukląkł przy posłaniu, i począł okrywać pocałunkami twarzyczkę i rączki dziecka.

Henio otworzył oczy i uśmiechnął się.

— Śniło mi się o mamie, — rzekł, — pytała się, czy papa nie dał jakiego zlecenia dla niej.

— Powiedz jej, mój drogi, że cię bardzo kocham i że mi przykro, iż odchodzisz.

— Papie przykro, że odchodzę, — powtórzył, a dawny uśmiech zawitał mu na twarzy, i bardzo mnie papa kocha? Mogę powiedzieć, tak bardzo jak Milusia?

— Tak bardzo, jak Milusia, — potwierdził pan Edward.

— Papo, i to prawda?

— Prawda, najdroższy mój synku.

Radość strzeliła z oczu dziecka.

— Nieraz zapominałem o zleceniach papy, ale o tem napewno nie zapomnę.

Po chwili znowu począł mówić:

— Chciałbym napisać to, co ludzie piszą przed śmiercią.

— Co takiego?

— Zapomniałem nazwy. Wirginia nazywa to »testamentem«. Co to jest?

— Testament znaczy wola.

— A tak, wola. Chciałbym napisać mą ostatnią wolę. Podyktuję papie, dobrze?

Pan Edward nie chciał sprzeciwić się choremu.

Przyniósł przybory do pisania, potem przysunął mały stolik do łóżeczka dziecka.

— Niech papa napisze tytuł dużemi literami:

Ostatnia wola

Henia.

»Milusiowi zostawiam scyzoryk o dwóch ostrzach.



Jedno złamałem ale drugie jest zupełnie dobre. Niech się Wirginia nie boi. Miluś nie może się niem skaleczyć, bo jest tępe i zardzewiałe od czasu, kiedy niem ucinałem paznogiec psu, i zostawiłem całą noc na deszczu A Dolly niech zajmie się moim ogródkiem, żeby kwiaty nie powiędły.

Papa niech weźmie mikroskop i książkę do nabożeństwa, a Wirginii zostawiam złotą szpilkę, która jej się bardzo

podoba. Myślałem, że jak dorosnę, będę ją nosił u krawatu, ale teraz już mi się nie przyda.

A Dolly trzeba dać jedną z mych książek. Nie wiem, czy zrozumie.

Jeszcze mam świnki morskie i króliki. Najlepiej dać je Dolly. Wiem, że się nimi zajmie i nie da im z głodu zdechnąć. — Co mam jeszcze? Wędkę, łyżwy i przybory do krokietu, to wszystko zostawiam Milusiowi.

Gdzieś włożyłem kilka groszy, już nie pamiętam gdzie, trzeba je zanieść kulawemu Tomowi, i powiedzieć, że z nim serdecznie współczuję.

Niech ktoś się zajmie żórawiem. Wiem, że jest brzydki, i zły i dzióbki, ale przez miłość dla mnie trzeba go karmić, bo jestem jedynym przyjacielem, którego miał na świecie, i teraz go opuszczam, biedaka. Możeby go wziął kulawy Tom, bo on najlepiej zrozumie, co to znaczy być kulawym i ciągle, cały dzień siedzieć na jednym miejscu.

Joasi zostawiam wazonik z powojem; stoi na oknie dzieciennego pokoju. Trzeba kwiaty często polewać. Trzy lub cztery razy dziennie wylewałem na niego mą małą polewaczkę. Biedny powój zawsze licho rósł. Czasem myślę, że może miał za

wiele wilgoci. Joasia już będzie wiedziała, co robić.

To chyba koniec. Żegnam wszystkich.«

— Papo, czy papa już napisał »żegnam wszystkich«?

— Tak, — odparł pan Edward niepewnym głosem, — napisałem. A teraz co zrobić?

— Czy starsi nie podpisują się własnoręcznie? Jak papa myśli? Będę mógł wypisać imię i nazwisko?

— Pewnie nie, — rzekł ojciec tym samym głosem, — ale podpiszę w twoim imieniu.

— Więc proszę napisać: Henryk, Edward, Karol! Ileż tego, zawołał z dawną wesołością!

— Już — rzekł ojciec — Henryk — Edward Karol.

— A teraz spróbuję zrobić pod tem krzyżyk.

— Jak chcesz — rzekł biedny ojciec, który wiedział, że bezwładne ręce nie zdolne do żadnego wysiłku, a i Henio spróbował się ruszyć, i uznał, że to niemożliwe.

— Teraz schowajmy to tak, żeby nikt za mego życia nie przeczytał. Cieszę się, że już zrobiłem testament, — dodał i zamknął oczy, bo długie mówienie bardzo go zmęczyło.

W pół godziny później doręczono baronetowi list:

Mój drogi Edwardzie!

Mam kilka wolnych dni i po drodze do Londynu zatrzymam się u was. Powiedz chłopcom, że się bardzo cieszę na dożynki, niech mi Henio wyszuka taneczkę, i t. d.

Baronet spojrział na datę, potem na stempel pocztowy. List wysłano z Portsmouth pod adresem klubu w Londynie, stamtąd dopiero wyekspedyowano go do Wareham.

— Nie wie o niczem — rzekł do siebie. Biedak, co za straszna wieść powita go u progu!

W tejże chwili Karol czytał w londyńskim hotelu list swego szwagra. Wypadł mu z ręki, młody człowiek aż pobladł ze wzruszenia.

— Dziś nie zdążę już, — rzekł, spoglądając na zegarek — lecz jutro pojedę pierwszym pociągim.

Myśli wróciły mu do owej pięknej niedzieli w Wareham, i zobaczył przed sobą silnego, ślicznego chłopczyka pełnego życia i radości. Widział go w polu, i na bramie, i w ganku, powiewającego kapeluszem, podczas gdy on, Karol, odjeżdżał na stacyę.

— Wujcio już jutro odjeżdża, co za krótkie odwiedziny!

— Na przyszły raz przyjadę na dłużej!

— Ale kiedy będzie przyszły raz?

— Tak, kiedy będzie przyszły raz?

-----  
Wuj Karol powtórzył z westchnieniem.

— Kiedy będzie przyszły raz?



98

## Rozdział XVII. 17

Wstał dzień naznaczony na dożynki. Mieszkańcy Wareham pochowali chorażewie i namioty od dawna przygotowane na uroczystość — odłożono odświętne szaty.

Praczka Dolly włożyła do skrzynki zieloną suknię w czerwone kropki i zalewała się łzami na myśl o swym tancerzu.

Na progach chat stały gromadki kołbet, — i ze łzami w oczach szeptały do siebie.

W całej wsi plakano młodego życia, które tak strasznie zakończyć się miało; ostre głosy chłopów łamały się, gdy mówili o urodzie i wesołem usposobieniu panicza. Proste dusze bolały na myśl o straszonym nieszczęściu, — i współczuły z dziedkiem.

Henio słabł z każdym dniem.

Jak lampa przed zgaśnięciem zwykle wystrzelił jasnym płomieniem, — tak dziecko, po kilku dniach majaczenia w gorączce, zdawało się wracać do przytomności.

— Co to znaczy? — pytał po kilka razy, otwierając oczy.

— Co chcesz powiedzieć, synku?

— Taki tu śmieszny hałas, — mówił, dotykając czoła.

— Główka cię boli.

— Ale jeszcze coś innego, coś szumi i śpiewa, ciągle szumi i śpiewa. Co to znaczy? Niech mi papa pomoże, to może sobie przypomnę.

Napróżno baronet wysłał myśli, by zadowolić pytającego chłopca.

— Papa nie próbuje, — skarżył się chory.

Pan Edward przypomniał sobie, że tonący nieraz słyszą w uszach hałas i szum wody, i rzekł na chybił trafił:

— Czy to podobne do szumu wody?

— Tak, tak, — zawołał Henio, — to niby szum, — przerwał, a po chwili dodał: szum wielu wód.

Był pod wrażeniem własnych słów.

— Co to jest, papo? Gdzie ja to słyszałem? Do czego to podobne?

Pan Edward pomyślał, że mówienie osłabi syna.

— Już ci powiedziałem, — podobne do szumu wody.

— Nie, to nieprawda, — wołał Henio, prawie z płaczem — to nie szum wody, to szum wód, wielu wód.

— Tak, tak, dziecko, — rzekł ojciec, przerażony wzruszeniem syna.

— To niech papa powie, — niech papa powie jak ma być.

Ojciec powtórzył:

— Szum wielu wód.

— Więc co to jest? Papa musi wie dzieć, co to znaczy!

— Doprawdy, że nie wiem.

— Gdyby papa miał w głowie szum wielu wód, to także chciałby wiedzieć, co to znaczy. Gdzieś już o szumie słyszałem. Papa był ze mną, wiem, pamiętam doskonale, — i ktoś tłumaczył co znaczy szum i śpiew w mej głowie.

Pan Edward nie odpowiadał w przekonaniu, że chłopczyk majaczy.

Po chwili Henio począł mówić:

— Co znaczy Karolek?

— To imię, synku.

— Tak, ale to jeszcze coś znaczy. — Może znaczy to samo co szum wielu wód?

— Tak, — odrzekł ojciec, myśląc, że dziecko mówi w gorączce.

— Więc jak powiem »szum Karolka«, to jakbym powiedział szum i śpiew w mojej głowie?

— Ależ nie, — odpowiedział baronet, zdziwiony logiką chorego.

Dziecko poczęło płakać.

— Przed chwilą papa mówił »tak«, jeżeli papa kłamie, to pójdzie do piekła, jak, kto — przerwał sobie — skłamał o dzikich ludziach, co mieli być u nas na obiedzie?

— Wuj Karolek, ale nie skłamał, tylko żartował.

Mówiąc, odwrócił głowę, bo wspomnienie owego obiadu wywołało obraz ślicznego chłopczyka, który pełen ciekawości wpadł do biblioteki, by zobaczyć »prawyborców«.

Henio powtarzał tymczasem:

— Wuj Karolek, wuj Karolek. Czy to to? Co znaczy wuj Karolek? Kto jest wuj Karolek?

Ktoś zajechał przed ganek, słychać kroki i głosy, — potem lekkie pukanie do drzwi.

Henio nic nie słyszy.

Odmykają się cicho drzwi, — wchodzi jakiś pan.

Pan Edward wstaje, idzie ku niemu, obaj na palcach podchodzą do kanapy i patrzą na bladą, chudą twarzyczkę o zamkniętych oczach.

Henio nie śpi.

Zmęczony umysł usiłuje zrozumieć, pochwyć z oderwanych wspomnień przeszło-

ści jakąś myśl, któraby rozproszyła mrok i zamieszanie.

Niewyraźne postacie przebiegają w obraźni, błyszczą i znikają.

— Stój, — woła słabo — o! proszę stój, choć na chwilę.

Zbudzony dźwiękiem własnego głosu otwiera oczy i patrzy na stojących przy sobie.

— Pst! nie płoszyć!

Mgła się rozsuwa, — cienie nabierają kształtów.

Z chaosu wyłania się postać wyraźniejsza od innych, — postać wysokiego mężczyzny.

Ot! Znalazł rozwiązanie zagadki!

Widzi szare mury starego kościoła, — siedzi w wysokim krześle. — Przed nim wielki modlitewnik z monogramem A. D., a tuż obok ów wysoki mężczyzna.

Pst! — Znowu wszystko znika.

Opodal siedzi ojciec, — założył nogę na nogę i głowę zwrócił ku ambonie, — gdzie stoi kapłan.

Henio wstrzymuje oddech, czuje, iż kapłan teraz wypowie owe słowa, za którymi tęskni.

Ale kaznodzieja milczy.

I znowu wszystko błednie.

Wtedy ów mężczyzna obok Henia wyjmuje ołówek z kieszeni i coś w swej książce podkreśla.

— Tak, tak! — krzyczy chory, — on wie, on mi powie.

— Wuju! wuju Karolu!

Żywy człowiek podchodzi do dziecka, ale baronet wstrzymuje go ruchem ręki.

— Śni — nie trzeba go budzić.

— Wuj Karol był ze mną, i wie. Wiele wód — i ołówek — i książka. — Wuj siedział, — a potem... nadleciała...

Ku zdziwieniu obecnych Henio wybucha śmiechem.

Skojarzenie myśli budzi w nim wspomnienie walki wuja z osą.

— Użądli go, krzyczy, — ale równocześnie zakrywa ręką usta, jakby wiedząc, że jest w kościele, gdzie nie wolno myśleć o wesołych rzeczach.

— Śpi, — mówi ojciec, — na miłość boską, nie budź go.

Henio leży wyczerpany bez ruchu. Wizya zniknęła, — i napróżno wzywa jej znowu.

— Poszedł! — Ika, — właśnie, kiedy go chciałem zapytać. — Wróć wuju!

— Wuju Karolu!

Ktoś przy nim klęka, — chłodna ręka dotyka jego czoła. — Dziecko otwiera oczy.



Wszystko zniknęło... książka, — kościół — ławka, — wszystko minęło, — ale zato przy nim został — wuj.

— Wujku, wujku, — łka dziecko, usiłując zarzucić słabe ramiona na szyję nowoprzybyłego, — to naprawdę wuj? Wujcio mi powie? Wujcio pomoże mi, bo nie mogę sobie przypomnieć.

— Co ci powiedzieć, kochany mój?

— Nie wiem! Nie umiem powiedzieć. Chcę sobie coś przypomnieć, i nie wiem, o co chodzi.

— Do czego to coś podobne? — pyta wuj Karol.

— Niby kościół, — i niby latem rano. — i papa i wujcio siedzeli cicho, — a ktoś tłumaczył, co znaczy szum w mej głowie. — Nie mogę sobie przypomnieć, co powiedział, ale gdybym pamiętał, szum i śpiew jużby mnie nie bolał. Wtedy, kiedy mówił, byłem bardzo szczęśliwy, i wszystko wkoło było szczęśliwe i piękne i jasne. — I wuj tam był, i wuj musi wiedzieć, bo coś zapisywał.

— Pamięta owo kazanie o Objawieniu, na którym byliśmy za mej ostatniej bytności, — rzekł Karol do szwagra.

— Wuj mi nie powie? — prosi Henio.

— Owszem, ale wpierw muszę iść po książkę do nabożeństwa, bo nie pamiętam dokładnie słów.

— Musi wuj iść koniecznie? Wuj znowu zniknie, i nie wróci.

— Napewno zaraz wrócę.

— Proszę się spieszyć, — szepce dziecko, — i opada znużone na poduszki.

Ale ledwo wuj wyszedł, widać było, że chce coś powiedzieć, a nie może wydobyć głosu. Zbielałe wargi poruszały się, lecz żaden dźwięk nie mógł się wydostać.

Pan Edward wyteżał całą siłą, by zrozumieć, — napróżno.

Oczy dziecka patrzyły błagalnie, a gdy usłyszał kroki wracającego wuja, szepnął ostatnim wysiłkiem:

— Obiecuj!

— Obiecuję, — rzekł baronet.

I nikt się nie dowiedział, że ostatnią prośbą dziecka było: niech nikt nie powie wujaszкови, że to jego historyjka nasunęła mu myśl o gałęzi, zwieszającej się nad stawem, gdzie rosły wodne lilie.

Karol otworzył książkę i czytał z wolna podkreślony ustęp:

»Słyszałem szum wielu wód.

»I słyszałem harfistów grających na harfach...

»I śpiewali nową pieśń...

»I nikt nie mógł jej śpiewać, tylko 144 000, którzy byli wybrani.«

Henio milczał.

Nie odpowiedział na pytanie ojca, czy teraz wie, czego się chciał dowiedzieć,—leżał bez ruchu, — tak, że na chwilę obaj panowie myśleli, że zmarł, nie słysząc słów, za któremi tęsknił. Ale dziwny spokój rozlał się na twarzy dziecka: oddychał równo jak w głębokim śnie.

Tak go widzieli otaczający.

A Henio?

Kto zdoła towarzyszyć lotnej wyobraźni na zawrotnych drogach!

Wracają obrazy owego letniego poranku, kiedy z ojcem i wujem siedział w kościele. Cudne rzeczy, wywołane słowami kaznodziei znów przed nim stoją, — złote bramy, i harfy i tłum aniołów, wszystko w co fantazja dziecka ubiera niebo.

Tysiączne tłumy w białych szatach chodzą w złotej Jerozolimie nad jaspisowem jeziorem.

A między aniołami, jeszcze od nich piękniejsza, stoi mama i uśmiecha się do niego. Niebo pełne cudów, dziecko widzi wszystko, co mu się wydaje świętem i godnem. W tłumie, »którego nie porachuje

żaden człowiek żywy«, niema nikogo obcego, wszyscy są kochani, i dobrzy i swoi.

Teraz rozumie co szumi i śpiewa w zoblalej główce.

To głos wielu wód, głos tłumów, śpiewających cudowny hymn, który tylko w niebie śpiewają wybrani!

Wtedy, w niedzielę, słyszał go kaznodzieja, wszak powiedział: Słyszę głos z nieba, — a dziś słyszy go Henio.

Nie napróżno przemawiał stary kapłan, słowa jego, zapomniane, czy uśpione w duszy dziecka, teraz wstały, i niby pyszne kwiaty ozdobiły ostatnie posłanie umierającego.

W pokoju panowało milczenie.

Po długich godzinach Henio przemówił, jakimś innym, nieswoim głosem:

— Ściemnia się.

Serce baroneta zabiło bólem, bo na dworze panował jeszcze dzień i promienie zachodzącego słońca zalewały pokój.

— Czas iść spać. Gdzie Miluś?

Pan Edward pobiegł po młodszego synka.

Kłęczał w koszulce na łóżeczku, i potarzał za Wirginią wieczorny pacierz. Baronet spiesznie rzucił Francuzce kilka słów wyjaśnienia, poczem pochwycił dziecko na ręce i zbiegł na dół.

— Papo, — rzekł zdziwiony Miluś, — nie skończyłem pacierza.

— Nie szkodź, — zmówisz z Heniem. Posadził dzlęcinę na kanapie.

Miluś przestraszony milczeniem, — serdecznie przytulił się do brata.

— Heniu, — zbudź się, i daj mi rękę!

— Nie bój się, Milusiu, — rzekł sennie Henio, — chodź bliżej.

Zarzucił ramię na szyję braciszka.

— Nie rozmawiajmy więcej, — takim dzisiaj senny. — Dobranoc, Milusiu.

Jeszcze coś dodał o mamie, ale Miluś nie dosłyszał.

— Nie rozumiem.

— Naturalnie, — nie możesz rozumieć, bo nie pamiętasz jej wcale.

— Nie pamiętam, ale mi powiesz, co?

— Jutro, — jutro wytłumaczę ci wszystko. Dobranoc, Milusiu, dobranoc.

Dzieci wymieniły ostatni pocałunek.

— — — — —

Ojciec pochylił się nad synem, bo jakiś niepokój znowu zawładnął chorem.

— Co to? — pytał w duchu. — Cierpi, czy boi się?

— Heniu, dziecko moje najmilsze, co ci jest? Czem ci można pomódz?

— Niczem!

Cała miłość ojcowska jest zupełnie bezsilna! — W głowie dziecka znów szumi i śpiewa i budzi się dziwna obawa.

— Czy potrafi śpiewać ów wspaniały hymn?

W kościele nigdy nie śpiewał z innymi, zawsze za wcześnie lub za późno skończył!

Może dzieciom nie wolno śpiewać hymnów!

Nikt nie umiał śpiewać, tylko sto czterdzieści cztery tysiące, którzy byli wybrani.

O dzieciach nic nie mówią!

Czy są między owymi wybranymi?

Więc jak?

Ojciec napróżno stara się odgadnąć mękę syna.

Czy dziecko ma umrzeć ze zwątpieniem w sercu? Czy też cud wyjaśni mu tajemnicę?

Czy otworzy się niebo i ukaże mu miliony niewiniątek u stóp Bożego tronu?

Nie. Drogi pańskie nie są naszymi drogami, jego potęga jest nieskończona.

Jak raz zesłał dziecku pociechę, tak i dziś go nie opuści. Niegdyś zesłał mu sen dobroczynny, a dziś balsam pociechy leje nie znakiem lub cudem, lecz po prostu słowami małego braciszka:

— Mów do mnie, — nie śpij jeszcze.  
Nie skończyłem pacierza. Papa powiedział,  
że mam go z tobą skończyć.

Milusi ukląkł na posłaniu i złożył rączkę.

Cienki głosik zaczął ostatnią zwrotkę

Wokoło Bożego tronu  
Stoją tysiące dzieci,  
Dzieci co zmarły bez winy  
Święty, szczęśliwy orszak.  
I śpiewają:  
Chwała, chwała, chwała!

Głośniej i głośniej szumi i śpiewa  
w głowie dziecka.

Ale zwątpienie umilkło.

Głośniej i głośniej, mocniej i mocniej  
ogarniają go fale.

Lecz obawa znikła.

W duszy słyszy śpiew dzieci, — hymn  
dzwoni tak silnie, że aż boli.

Wszystko obraca się i krąży, — Henio  
otwiera oczy.

Co za widok!

Tuż przed nim w wspaniałej szacie  
stoi ukochana matka i uśmiecha się do synka.

Uszczęśliwiony wyciąga ramiona.

— Mamusia przyszła po mnie? Idę  
mamo, idę!

Ci, co stali obok widzieli tylko, jak  
wyraz bólu przeszedł w dawny, słoneczny  
uśmiech. Wargi poruszyły się, wyciągnął  
ręce i na chwilę podniósł oczy ku portretowi.

Potem zapadły powieki; oddech  
słabł i słabł, tylko promienny uśmiech  
został na ustach.

— Henio usnął, — wyszeptał cicho  
Milusi.

Boże Narodzenie 1915.



61453

705